

# FILOLOGIA POLSKA IFP



ISSN 2450-3584

ROCZNIKI NAUKOWE **ALMANACH** on-line  
(2) 2024  
UNIWERSYTETU ZIELONOGÓRSKIEGO

MANUSCRIPTS – PREPRINTS – ARCHIVES  
MATERIALS – SOURCES

Projekt, redakcja, korekta, skład i łamanie

MONIKA KACZOR, RADOSŁAW SZTYBER

## WŚRÓD LUDZI (WYWIADY)

### O(D)POWIADAJĄ

Michał LISTKIEWICZ (sędzia piłkarski, prezes PZPN w latach 1999-2008) {s. 2},  
Mariusz KACZMAREK (koszykarz, reprezentant kraju, mistrz Polski) {s. 8},  
Marcin NITSCHKE (snookerzysta, reprezentant kraju, mistrz Polski) {s. 13}, Daniel KOŁTUN (wójt  
Gminy Siedlisko) {s. 16}, Aleksandra NIEWIADOMSKA-PAKUŁA (freelancerka) {s. 26}, Janusz  
ŁASTOWIECKI (radiowiec, dziennikarz, meloman) {s. 34},  
Agnieszka JORDAN-GONDOREK (pisarka) {s. 38}, Barbara ANIMUCKA (dżokejka) {s. 40},  
ANONIM (tanatopraktyk) {s. 43}

### PISZĄ

(STUDENCI PIERWSZEGO ROKU DZIENNIKARSTWA I KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ)  
Maciej Bizukojć, Gabriela Bogucka, Julia Imbierska, Alina Jankowska, Mateusz Kludka, Hanna Konarska,  
Tetiana Kravchenko, Antonina Kruk, Martyna Pawlak, Aleksandra Pruszyńska, Julia Rogala,  
Anastazja Siwicka, Aleksandra Sokołowska, Mikołaj Szoltek, Franciszek Waga,  
Karolina Waleńska, Igor Wyszynski, Marta Zarebska, Dawid Zawali, Yevhenii Zotov.

EDYCJA testowa (23.05.2024) – EDYCJA ostatnia (05.07.2024)

---

# Michał Listkiewicz

Kazimierz Górski „nazwał mnie panem misiem”.

*Michał Listkiewicz to postać doskonale znana w świecie polskiej piłki nożnej. Jako międzynarodowy arbiter sędziował mecze na najwyższym poziomie, w tym finały Mistrzostw Świata, Europy czy Igrzyska Olimpijskie. Po zakończeniu kariery sędziowskiej z powodzeniem pełnił funkcje działacza sportowego, będąc m.in. prezesem Polskiego Związku Piłki Nożnej. Jego bogate doświadczenia oraz wiedza na temat futbolu sprawiają, że jest jednym z najbardziej szanowanych autorytetów w tej dziedzinie.*

*W wywiadzie porozmawiamy z Panem Michałem Listkiewiczem o jego imponującej karierze, wyzwaniach związanych z sędziowaniem na największych światowych imprezach oraz jego czasie prezesury w PZPN-ie. Przybliżymy również kulisy organizacji Euro 2012 oraz zapoznamy się z osobistymi refleksjami i wspomnieniami.*

**Maciej Bizukojć, Mateusz Kłudka, Yevhenii Zotov (M.B., M.K., Y.Z.)** Grał Pan w koszykówkę oraz piłkę ręczną w słynnych warszawskich klubach sportowych. To dlaczego akurat piłka nożna? Jak narodził się pomysł, aby zostać sędzią piłkarskim?

**Michał Listkiewicz (M.L.)** Wszystkie gry zespołowe mnie interesowały. Mimo, że pochodzę z rodziny zupełnie niesportowej, bo takiej bardziej artystycznej – mimo to, zawsze ciągnęło mnie do sportu. Już w szkole podstawowej byłem takim organizatorem życia sportowego. Organizowałem mistrzostwa międzyklasowe, potem z innymi szkołami. Mój tata przyjaźnił się z Marianem Łączem. To właśnie on wziął mnie pierwszy raz w życiu na mecz piłkarski Polonia – Warszawianka. Miałem wtedy chyba 10 lat i od tej pory tak jakoś zaskoczyłem. W pewnym momencie swojego życia zorientowałem się, że nie będę zawodnikiem wybitnym ani nawet dobrym, bo nie mam na tyle talentu albo samozaparcia. No, ale mówię zaraz, jest jeszcze sędziowanie. No i zapisałem się na kurs sędziów koszykówki. Sędziowałem trochę tę koszykówkę, ale wtedy sezon był bardzo krótki. Trwał może 4 miesiące, a co przez 8 miesięcy pozostałych? Zupełnie przypadkowo w gazecie przeczytałem, że jest kurs na sędziów piłki nożnych. Zapisałem się, jak miałem chyba 18 lat. Miałem szczęście, że wykładowcą na tym kursie był wybitny sędzia i człowiek taki bardzo charyzmatyczny, życzliwy. Nazywał się Jerzy Hołub. Już nie żyje. Był świetnym sędzią ligowym, który mnie przekonał. Mówił: „Michał – no, dasz radę. Na początku będziesz jeździł na wioski, gdzie można się wielu rzeczy nasłuchać, przyjemności nie ma, no ale musisz to przetrwać” – przekonywał.

**M.B., M.K., Y.Z.** Czy pamięta Pan swój debiutancki mecz? Jak Pan go wspomina?

**M.L.** Pamiętam, oczywiście. Był to mecz Lecha Poznań z Wisłą Kraków, czyli od razu mecz, można śmiało powiedzieć, z wysokiej półki. Poszedł on mi dość dobrze. Pamiętam, trener Wojciech Łazarek – ówczesny trener Lecha – po meczu właśnie powiedział, że był to bardzo udany debiut młodego sędziego.

**M.B., M.K., Y.Z.** Sędziował Pan na każdej wielkiej piłkarskiej imprezie – na Mistrzostwach Europy w 1988 roku, Igrzyskach Olimpijskich w 1988 roku, Mistrzostwach Świata w 1990 oraz 1994 roku. Które z tych zawodów wspomina Pan najlepiej?

**M.L.** Najlepiej wspominam oczywiście Mistrzostwa Świata w roku 1990, a najgorzej – te 4 lata później, ponieważ w tych pierwszych odniosłem ogromny sukces. Sędziowałem w nich osiem spotkań, w tym mecz otwarcia, ćwierćfinał, półfinał oraz finał. Oczywiście ktoś może powiedzieć, że tylko na linii, bo wtedy nie było podziału na asystentów i głównych. Początkowo też tak myślałem, byłem trochę rozgoryczony, ale potem zdałem sobie sprawę, że nigdy nie zamieniłbym tych ośmiu meczów na linii, na dwa czy trzy mecze na środku, bo mógłbym nigdy nie wystąpić w finale.

**M.B., M.K., Y.Z.** Jest Pan pierwszym Polakiem, który wystąpił w finale mistrzostw świata. Jak Pan zareagował na informację o przyznaniu Panu prowadzenia finału? Spodziewał się Pan tego?

**M.L.** Nie, nie. Kompletnie tego nie oczekiwałem. Praktyka jest taka, do dzisiaj zresztą, że sędziowie półfinału nie sędziują finału. Na basenie podszedł do mnie członek Komisji Sędziowskiej FIFA i zapytał, co ja tu robię. Odpowiedziałem, że skończyłem udane dla mnie mistrzostwa. Na co mi kazał natychmiast iść do pokoju, bo jutro sędziuję finał. Początkowo myślałem, że to żart, po czym przyszedł z wydrukowaną obsadą na finał z moim nazwiskiem.

**M.B., M.K., Y.Z.** Jak wspomina Pan tamto spotkanie?

**M.L.** Finał był słaby. Mecz był taki taktyczny, dużo gorszy niż półfinał. Argentyna zagrała akurat w tym momencie chyba swój najslabszy mecz, a Niemcy, jak to Niemcy – wiadomo – na wynik. Jednak sędzia na boisku, jak sędziuje, to się nie przygląda pięknu gry, tylko skupia się na swojej robocie. Mecz był bardzo nerwowy, ponieważ Argentyna przegrała z powodu rzutu karnego, który – ich zdaniem – był wątpliwy, do tego stopnia, że policja po meczu musiała eskortować nas do szatni.

**M.B., M.K., Y.Z.** Czy jest mecz, który, poza wspomnianym finałem, utkwił Panu w pamięci najbardziej?

**M.L.** Było takich meczów trochę. Na pewno jednym z nich był mecz eliminacyjny do mistrzostw świata Bułgaria – Rumunia, zwycięzca awansował do finałów. Mecz ten sędziowałem jako sędzia główny. Bułgaria i Rumunia w tamtych czasach były krajami bardzo skonfliktowanymi, nie darzącymi się przyjaźnią. Bułgaria ten mecz przegrała u siebie 1:3 i, co rzadko zdarza się arbitrom, gdy wraz z kolegami schodziliśmy z boiska, kibice na trybunach zrobili nam owacje na stojąco. Osobiście uważam, że był to mój mecz życia, jeśli chodzi o poziom. Dostałem najwyższą ocenę.

**M.B., M.K., Y.Z.** A czy pamięta Pan jakąś nietypową, zabawną sytuację, która wydarzyła się podczas sędziowanego przez Pana meczu?

**M.L.** Sędziowałem mecz Syria – Katar na turnieju przedolimpijskim w mieście Aleppo. Katar grał na czas, był remis i ten wynik ich urządał. Byli oni ubrani cali na biało. W pewnym momencie jeden z zawodników leżał, symulował kontuzję, a ja wezwałem nosze. Wbiegł personel z noszami, wsadzili go na nosze, a on w pewnym momencie celowo się z nich zsunął ponownie na boisko. Zrobiło się ogromne zamieszanie, przepychanka i musiałem zainterweniować. Pokazałem żółtą kartkę i nagle, nie wiedząc czemu, cały stadion zaczął się śmiać. Zawodnicy patrzyli na mnie mocno zdziwieni, gdyż nie dowierzali, co ja robię. Okazało się, że pokazałem kartkę... sanitariuszowi. Kazałem mu się odwrócić, żeby zobaczyć jego numer, a tam nie było żadnego numeru, tylko czerwony półksiężyc.

**M.B., M.K., Y.Z.** Jaki był Pana pożegnalny mecz?

**M.L.** Moim pożegnalnym meczem był finał Pucharu Polski. Ruch Chorzów z GKS-em Bełchatów w Warszawie na stadionie Polonii.

**M.B., M.K., Y.Z.** Skąd decyzja o zakończeniu tej pięknej przygody?

**M.L.** Skończyłem dość wcześnie, bo miałem chyba 42 lata, a więc mogłem sędziować jeszcze z pięć lat, ale dostałem propozycję objęcia stanowiska sekretarza generalnego PZPN-u. Warunek był, że muszę skończyć sędziowanie, bo nie można tego łączyć. Rozważyłem, co ja w sędziowaniu jeszcze mogę osiągnąć. Stwierdziłem, że w zasadzie jestem spełniony i mogłem tylko odcinać kupony, a tego nigdy robić nie chciałem. W związku z tym zgodziłem się, ale poprosiłem o tzw. pożegnalny mecz.

**M.B., M.K., Y.Z.** Co Pan czuł po tym meczu? Ulgę, smutek czy może satysfakcję?

**M.L.** Smutek trochę, bo jednak do dzisiaj ciągnie mnie na boisko. Czasami poproszą mnie, abym posędziował jakiś mecz np. charytatywny. Gdy wyjdę na boisko, gwizdnę ten pierwszy raz, to odżywa to wszystko we mnie. To jest mój świat.

**M.B., M.K., Y.Z.** Chcielibyśmy również zapytać o wpływ nowych technologii w piłce nożnej. Co Pan sądzi o technologii Goal-Line oraz VAR?

**M.L.** Ja jestem bardzo za. Bardzo zmieniło to piłkę na plus, aczkolwiek niektórzy oczekiwali, że VAR wyeliminuje błędy sędziowskie do zera, co jest niemożliwe. VAR to też ludzie, a nie maszyna. Sami muszą ocenić pewne elementy, jak chociażby zagranie ręką, intencje zawodnika. Natomiast minus VAR-u, bo plusów jest zdecydowanie więcej niż minusów, ale minus jest taki, że VAR sędziów troszeczkę rozleniwił. I dziś mamy takie zdarzenia, że sytuacja jest oczywista, a sędzia nie reaguje natychmiast.

**M.B., M.K., Y.Z.** Czy są może jakieś zmiany, których oczekuje Pan, że zostaną wprowadzone w najbliższych latach?

**M.L.** Oczekiwałbym zmian powrotnych. Podobnie jak w innych dyscyplinach sportu, takich, że zawodnik, który zszedł z boiska, mógł nabrać trochę sił i wrócić. Dałoby to trenerom też większe możliwości, choć uważam, że ta zmiana pięciu zmian też jest świetna. Chciałbym również zmian w czasie gry. Sędziowie czasami doliczają sporo czasu, a kibice nie bardzo rozumieją, dlaczego. Bardziej bym się skłaniał ku czystemu czasowi gry polegającym na skróceniu trwania meczu, na przykład do 35 minut, ale

czystej gry, czyli piłka jest poza grą, czas zatrzymujemy, podobnie jak ma to miejsce w koszykówce.

**M.B., M.K., Y.Z.** Chcielibyśmy również zapytać, jakie miałby Pan rady dla początkujących sędziów oraz dla tych, którzy wahają się, by pójść na kurs?

**M.L.** Przede wszystkim muszą sobie odpowiedzieć na pytanie, czy będą to lubić. Jeżeli chcą to robić, bo marzą, że będą drugim Marciniakiem, to niekoniecznie. To tak jak młody piłkarz. Tatuś powie, będziesz drugim Robertem Lewandowskim – idź trenuj, a dzieciak tego nie lubi. I tu także absolutnie przestrzegam. Marciniak jest jeden. Wszystkim życzę, żeby pojawił się kolejny, ale to nie jest tak, że ktoś włoży dużo pracy, dużo zainwestuje w siebie i tak dalej i na pewno zrobi karierę Marciniaka. To jest tak, jak z piłkarzem. To jeden na tysiąc może. Druga sprawa, to nie róbcie tego dla pieniędzy, bo w sędziowaniu można zarobić duże pieniądze, ale to już na tym szczeblu najwyższym. Natomiast na początku – a trzeba sobie zdać sobie z tego sprawę – to jest w zasadzie działalność bardziej hobbystyczna.

**M.B., M.K., Y.Z.** Chcielibyśmy teraz przejść do pytań związanych z Pańską działalnością w Polskim Związku Piłki Nożnej. Współpracował Pan z legendą polskiej piłki – Kazimierzem Górskim. Jak udało się Panu go poznać? Jak ocenia Pan współpracę ze słynnym, utytułowanym selekcjonerem?

**M.L.** Pana Kazia poznałem późno, bo w czasach, jak on święcił największe triumfy, to ja miałem może dwadzieścia lat, byłem młodziutkim dziennikarzem, studentem, a więc nikt by mnie do niego nie dopuścił. Dopiero później poprzez to, że przyjaźniłem się z synem Pana Kazimierza – Darkiem, którego poznałem na dziennikarskim szlaku, zapoznał mnie on ze swoimi rodzicami. Pan Kazimierz zapałał do mnie sympatią i nazwał mnie panem misiem i tak już zostało na zawsze. Później, jak Pan Kazimierz był wiceprezesem, a potem prezesem PZPN, to ja byłem takim jakby jego kierowcą, kamerdynerem, sekretarzem, asystentem. Dużo jeździliśmy razem po kraju. Był wspaniałym człowiekiem. Niesamowicie skromnym, mającym ogromne pokłady dobroci dla ludzi. Dla niego nie miało znaczenia, czy rozmawia z ministrem, czy jakimś prostym działaczem klubu na wsi.

**M.B., M.K., Y.Z.** W 1989 został Pan rzecznikiem prasowym PZPN, później – kolejno – sekretarzem ds. międzynarodowych i zastępcą sekretarza generalnego, sekretarzem generalnym, wiceprezesem, aż w końcu prezesem. Chyba zgodzi się Pan z twierdzeniem, że w swojej karierze w Polskim Związku Piłki Nożnej wspinał się pan sumiennie, stopniowo na coraz wyższy szczebel?

**M.L.** No tak, przeszedłem wszystkie możliwe szczeble, czyli tak jak w amerykańskiej firmie, gdzie syn właściciela zaczyna od gońca, a potem po ojcu przejmuje biznes, taka modelowa droga. Ja miałem szczęście, bo do PZPN-u trafiłem, kiedy prezesem został Jerzy Domański, który był i jest świetnym dziennikarzem. Jak został prezesem, to postanowił ten związek odmłodzić. Zaprosił kilku młodych ludzi, w tym mnie. Przypadła mi rola rzecznika prasowego, ponieważ byłem zawodowym dziennikarzem,

aczkolwiek później powiedziano, że rzecznikiem może być ktoś inny, a ja, skoro znam parę języków, to przydam się w dziale międzynarodowym.

**M.B., M.K., Y.Z.** Na szczyt dotarł Pan w roku 1999, zajmując stanowisko prezesa PZPN aż do 2008, czyli przez dwie kadencje. Jakie były największe wyzwania, przed którymi stanął Pan obejmując wspomnianą funkcję?

**M.L.** Miała wtedy miejsce tzw. zmiana ustrojowa w Polsce, czyli wszystko się kształtowało od nowa. Trzeba było przede wszystkim znaleźć sponsorów dla reprezentacji, bo PZPN wcześniej był dotowany przez państwo. Przychodziła jakaś tam dotacja ministerialna, inna i tyle. A teraz trzeba było sobie radzić trochę samemu, bo trzeba było płacić trenerom, piłkarzom, reprezentacji, pracownikom i trzeba było te pieniądze znaleźć. Tutaj ogromną rolę odegrał Zbigniew Boniek, który był moim wiceprezesem w pierwszej kadencji. Miał on duże doświadczenie z Włoch w pozyskiwaniu sponsorów. To muszę przyznać – bardzo mi tu pomógł. Drugą sprawą było przełamać tę niemoc reprezentacji Polski, która od 16 lat nie zagrała na żadnym dużym turnieju. Ludzie w zasadzie nie byli już nawet źli, tylko zrezygnowani. Potem przyszły trudne chwile, czyli korupcja. Moi kolegow, którym ufałem, mianowałem na różne stanowiska, nie sądziłem, że mnie – że tak powiem – zawiodą. Myślałem, że zjawisko jest marginalne, a było masowe. Gdybym wiedział, że problem jest aż tak poważny to od razu wykonałbym bardzo radykalne kroki.

**M.B., M.K., Y.Z.** Jakie zmiany, reformy udało się Panu wprowadzić w Polskim Związku Piłki Nożnej?

**M.L.** No wie Pan, mówienie o reformach, szkoleniach, dla mnie jest takim trochę biciem [piany]. To jest piłka, jak to mawiał Kazimierz Górski, to jest prosta gra. Dwie bramki, dwa razy po 11 zawodników, sędziowie, wymiary boiska i wygra ten, który strzeli jedną bramkę więcej. Na pewno udało się przełamać tę niemoc reprezentacji. Udało się rozwiązać problem braku sponsorów związkowych. Udało się wprowadzić piłkę nożną do szkół z pomocą m.in. Ministerstwa Sportu. Wydaje mi się, że dużo rzeczy nam się powiodło. Poza tą nieszczęsną korupcją, która ciągnęła nas w dół.

**M.B., M.K., Y.Z.** Chcielibyśmy teraz przejść do tematu Mistrzostw Europy w 2012 roku. Skąd pomysł o wspólnej organizacji turnieju wraz z Ukrainą?

**M.L.** Pomysł zrodził się zupełnie przypadkowo. Byliśmy we Lwowie na uroczystości nadania honorowego obywatelstwa tego miasta Panu Kazimierzowi Górskiemu, o którym już dziś rozmawialiśmy, a który stamtąd pochodził. W pewnym momencie podszedł do nas ówczesny prezes Federacji Ukraińskiej, który zaproponował abyśmy wspólnie wystąpili o organizację Euro. Początkowo nie bardzo wiedzieliśmy, o co chodzi. Okazało się, że Ukraińcy wcześniej z Rosjanami negocjowali o wspólnej organizacji turnieju, jednak Rosjanie nie byli chyba zainteresowani tym pomysłem, dlatego zwrócili się do nas. Początkowo czuliśmy takie niedowierzanie, jednak później po odstąpieniu kulis przez wspomnianego prezesa uznaliśmy, że trzeba spróbować.

**M.B., M.K., Y.Z.** Jak zareagował Pan na oficjalne przyznanie Polsce i Ukrainie organizacji Euro?

**M.L.** Wybuch szaleńczej radości. Skakałem wszystkim po plecach, nawet ministrowi Lipcowi, z którym się nie lubiłem.

**M.B., M.K., Y.Z.** Skoro jesteśmy przy temacie Mistrzostw Europy, to chcielibyśmy zapytać o tegoroczny turniej w Niemczech, który zbliża się wielkimi krokami. Jak ocenia Pan szanse Polaków?

**M.L.** Cieszę się, że nie ma pompowania balonika, takiego jak to było przed Koreą czy potem przed mundialem w Niemczech. Jedziemy po to, żeby wyjść z grupy, przynajmniej na razie. Nie ma jakiegoś stresu, napięcia, presji i to jest bardzo dobre. Jedziemy przede wszystkim świetnie się zaprezentować. Walka i postawa musi być, a wynik w piłce może być różny. Moim zdaniem, selekcjoner Michał Probierz jest człowiekiem, który to gwarantuje. Ma świetny, bliski kontakt z zawodnikami, nie tylko piłkarski, ale również zna ich życiowe, osobiste sprawy.

**M.B., M.K., Y.Z.** Czego moglibyśmy Panu życzyć na kolejne lata?

**M.L.** Przede wszystkim zdrowia i takich wspaniałych ludzi wokół mnie, jakich zawsze w życiu miałem. Nie ukrywam, zawsze miałem szczęście, nosa do ludzi, chociażby wybierając selekcjonerów. Mam 71 lat, ale ciągle mnie gdzieś nosi. Mam już najbliższe trzy miesiące rozplanowane. Różne wyjazdy, wizyty na jakieś turnieje charytatywne, na rocznicę klubów, otwarcie boisk. Kocham takie klimaty, dlatego nigdy nie odmawiam. Tak że, żeby zdrowie dopisywało i żeby przyjaciele wierni, którzy są wokół mnie, nigdy mnie nie opuścili.

**M.B., M.K., Y.Z.** I tego Panu oczywiście życzymy.

**M.L.** Dzięki wielkie!

**M.B., M.K., Y.Z.** I na zakończenie pytanie – czy miał Pan może kiedyś okazję gościć w Zielonej Górze?

**M.L.** W Zielonej Górze? Tak, byłem, ale nie za często. Może ze trzy razy, ale byłem zauroczony. Rzeczywiście jest to Zielone Miasto. Raz miałem przyjemność być na meczu koszykówki oraz żużlu. Mam tam też dobrych kolegów, szefów Lubuskiej Piłki. Kocham Ziemię Lubuską, a szczególnie Lubuskie Mazury, więc jeziora, lasy, okolice Dobiegniewa, Wałcza. Kibicuję też Lechii Zielona Góra. Murawski jest dla mnie świetnym człowiekiem, który nie zapomniał, skąd wyszedł i, można powiedzieć, spłaca długi wobec swojego miasta, z którego wyszedł teraz jako trener i taki ambasador Zielonogórskiej Piłki. Zresztą, kiedyś moja mama pracowała w teatrze w Zielonej Górze. Była reżyserem i mówiła, a w wielu teatrach w Polsce pracowała, że nie było nigdzie tak wspaniałej atmosfery, ludzi i krajobrazu, jak w Zielonej Górze.

---

Rozmawiali: Maciej BIZUKOJC, Mateusz KLUDKA, Yevhenii ZOTOV.

---

# Mariusz Kaczmarek

„Za wcześnie skończyłem”.

**Anastazja Siwicka (A.S.)** Dzień dobry, Panie Mariuszu.

**Alina Jankowska (A.J.)** Dzień dobry, dziękujemy za spotkanie.

**Mariusz Kaczmarek (M.K.)** Dzień dobry, nie ma sprawy. Dobrze wiedzieć, że młode osoby dalej się interesują historią koszykówki.

**A.S.** Mamy przygotowane parę pytań dotyczących Pana kariery i nie tylko. Może na początek – dlaczego akurat koszykówka? Co urzekło Pana w tym sporcie? I jak to wszystko się w ogóle zaczęło?

**M.K.** Zaczęło się w szkole podstawowej, gdzie w zasadzie zawsze jakkolwiek sport funkcjonował. W Szkole Podstawowej numer 7 w Zielonej Górze był nauczyciel WF-u, pan Kaszewski, którego pasją była koszykówka. On prowadził zajęcia dodatkowe z koszykówki i nauczał na lekcjach wychowania fizycznego tego sportu. To był mój pierwszy kontakt, bo wiadomo, że wtedy wszyscy byli zafascynowani piłką nożną. A ponieważ w tej szkole Zastal miał zajęcia treningowe z innymi grupami, które ćwiczyły w prawdziwym klubie, to się tam podglądało, jak tylko mogliśmy i siłą rzeczy zainteresowanie rosło z dnia na dzień. Więc odpowiadając krótko – zaczęło się od podstawówki.

**A.J.** Z tego, co wyczytałyśmy, grał Pan w wielu klubach. Który klub wspomina Pan najlepiej? Najlepsza atmosfera, współpraca?

**M.K.** W sumie grałem w trzech klubach, ale rzeczywiście tu, gdzie się wychowałem, w Zastalu, najdłużej i najmilej to wspominam. Choć równie dobrze grało mi się we Wrocławiu, w ówczesnej Gwardii Wrocław.

**A.J.** Nie myślał Pan o pozostaniu w klubie Gwardii Wrocław na stałe?

**M.K.** Generalnie sytuacja była taka, że nawet był taki plan, ale ponieważ miałem zwolnienie tylko na okres studiów i w przypadku, gdyby Zastal w [19]84 roku nie awansował [do pierwszej ligi], to miałbym prawo zostać, jako że Gwardia Wrocław była w wyższej lidze, takie były przepisy wtedy, które teraz są abstrakcyjne. Ale ponieważ Zastal awansował, wróciłem do Zielonej Góry. I ten czas wspominam najmilej.

**A.S.** Z tego, co się orientuję, Wrocław jest największym rywalem Zastalu. Mecze były bardzo emocjonujące.

**M.K.** Tak, tak. Było kilka takich klubów. Śląsk Wrocław, Gwardia Wrocław, Lech Poznań, Zagłębie Sosnowiec – to były drużyny, w których wcześniej grałem dwa sezony. Co prawda, zdobyłem medale Mistrzostw Polski właśnie z tamtymi klubami, z Zastalem tego nie zdobyłem, ale, mimo wszystko, tutaj atmosfera w Drzonkowie i mecze z tymi drużynami przyciągały mnóstwo kibiców. Atmosfera była niepowtarzalna.



Oczywiście, teraz też można spotkać takie emocje, ale na innych zasadach te mecze się odbywają.

**A.J.** Teraz dużo osób narzeka, że to nie jest to samo co kiedyś.

**A.S.** Tak, że to nie jest już ta sama rodzina co kiedyś, inne priorytety.

**M.K.** Tak, tak. Jeśli mogę, to wróć do tych przepisów ówczesnych, bo to też było związane z tym, że wychowankowie byli już przyklejeni do klubów macierzystych i ciężko było zmienić barwy w tamtych czasach. Ale to miało też swoją dobrą stronę – w większości klubów opierały się one na swoich wychowankach. To właśnie oni tworzyli tę atmosferę, tę rodzinę. To dawało taką dodatkową rywalizację między kibicami. Chociaż teraz nasz klub kibica super działa, ale też na innych zasadach. Są sezony, że co roku jest inny zespół, inne charaktery, inne zachowania. To jest ten minus rozgrywek teraz. Kiedyś kluby opierały się w 90% na wychowankach, teraz myślę, że w 10%, jeśli w ogóle.

**A.S.** Łączył Pan karierę sportową ze studiami. Nie każdemu się to udaje. Czy momentami było zbyt ciężko?

**M.K.** Ja dlatego właśnie zmieniłem klub, bo moim pierwszym klubem było Zagłębie Sosnowiec i studiowałem w AWF w Katowicach. Tam nie udało mi się tego połączyć. Trener wymagał, żebym był na dwóch treningach dziennie, w weekendy grało się, sobota, niedziela dwa mecze. Na uczelni wszystkie zajęcia fizyczne trzeba było zaliczać, łącznie z koszykówką, ponieważ miałem specjalizację z koszykówki, więc na zajęcia trzeba było chodzić. Nie było za bardzo ulgi. Po dwóch latach zdecydowałem się zmienić na Wrocław i tym sposobem Gwardia Wrocław zaistniała w mojej karierze sportowej. Tam już było łatwiej, trenerzy lepiej podchodzili do studentów. Już można było to jakoś połączyć. Ale z perspektywy czasu to był fajny czas, studencko-sportowy.

**A.S.** A z czystej ciekawości, ma Pan jeszcze może kontakt z kolegami z drużyny albo ze studiów? Czy te znajomości przetrwały?

**M.K.** Tak, zdecydowanie. Bardzo pomagają w tym media społecznościowe. Ale też różne turnieje się odbywają; mimo że już nie gram, to jadę się spotkać ze starymi kolegami na imprezach. Największy kontakt mamy przez media. Wiadomo, to już są starsi panowie, tak jak ja zresztą, ale rozmawiamy, wspominamy. Fajny czas, mimo że szaro było wtedy w Polsce, to dla mnie było kolorowo.

**A.J.** A czy w Pana karierze kiedykolwiek były jakieś momenty zwątpienia? Może myślał Pan kiedyś, żeby po prostu zająć się czymś innym, niekoniecznie koszykówką.

**M.K.** Nie, takiego czegoś nie miałem. Miałem klapki na oczach. Od czasów jak zostałem pierwszy raz powołany do młodzieżowej reprezentacji, to wtedy poczułem, że mogę się rozwijać w sporcie. Takich zwątpień nie było. Zwątpienie przyszło wraz z końcem kariery, przedwczesnym zresztą, to był przełom [19]89 roku, kiedy był czas zmian. Nie było za bardzo pieniędzy w sporcie, my wszyscy mieliśmy rodziny i łatwo było wtedy założyć prywatny interes. Wtedy zrezygnowałem na chwilę, później wróciłem znowu na jeden sezon, ale generalnie mogę teraz z perspektywy czasu powie-

dzieć, że za wcześniej skończyłem. Można było to jeszcze jakoś łączyć. Chociaż klub się nie zgodził na łączenie pracy z graniem.

**A.S.** A jakie ma Pan wspomnienia z liceum? Bo ja, tak samo jak Pan, kończyłam VII LO [w Zielonej Górze], ale teraz się zmieniło. Już nie jest ogólnokształcąca i sportowe, tylko Mistrzostwa Sportowego.

**M.K.** Ja wspominam ówczesną kadrę nauczycieli i trenerów, Pana Pawłowskiego, który był naszym wychowawcą, bardzo dobrze. Była rytmika, tańce dla wszystkich, lekkoatletyka, gimnastyka, zajęcia z gier zespołowych. To było super. Ale teraz się zmieniło. Mam kontakt z trenerami z VII LO, wiem, jak to wygląda. Jeśli klasa jest koszykarska, to tych zajęć z koszykówki jest aż za dużo. My mieliśmy to szczęście, że u nas każdy się rozwijał w wielu dyscyplinach – nie tylko w jednej. Ta koszykówka u nas była, ale na treningach po południu. A w liceum mieliśmy zajęcia z wielu innych dyscyplin, co uważam, że było dla mnie bardzo korzystne. Organizm rozwijał się wszechstronnie. Później mi to naprawdę pomogło w karierze, bo sprawność i motoryka była rozwinięta.

**A.S.** A wracając do naszej wcześniejszej rozmowy, co Pan sądzi o stanie koszykówki w naszym mieście teraz? Zmiana na gorsze, lepsze?

**M.K.** To tak jak wcześniej mówiłem, plusy i minusy. Poziom dyscypliny, fizyczność, szybkość, to poszło tak mocno do przodu. Jakbym się przestawił i poszedł teraz na boisko, to bym został zdmuchnięty fizycznie. Technicznie bym może jeszcze dał radę, ale fizycznie na pewno nie. To się właśnie wiąże z tą zmianą dyscypliny. Nie chcę mówić też o pieniądzach, ale na pewno też grają dużą rolę w tym wszystkim. Teraz można sobie zapewnić przyszłość przez karierę sportową, co też jest dużym plusem. Kiedyś to było nierealne, ale czasy się zmieniają. Sama koszykówka jako dyscyplina, moim zdaniem, jest bardzo sterowana przez trenerów. Kiedyś trenerem musiał być rozgrywający. On był na boisku najważniejszą postacią. Więc to jest dla mnie na minus, to sterowanie.

**A.J.** Zakończył Pan karierę wcześniej, jak zresztą sam Pan przyznał. Co było tego powodem?

**M.K.** Nie było wtedy wówczas pieniędzy. Naszym największym sponsorem był zakład Zastal, główny i praktycznie jedyny. W latach właśnie 90. przyszedł moment, kiedy Zastal się prywatyzował, a nie było innych firm. Ja wtedy miałem dwójkę dzieci, chciałem zapewnić im wszystko. To też były takie czasy, że byle jaki interes się otwierało i w tydzień zarabiano się więcej niż w dwa miesiące w klubie i to był dylemat. Ja wtedy chciałem robić jedno i drugie, ale kierownictwo w klubie się nie zgodziło na taki układ. Trening raz dziennie i mecze w weekendy to było dla nich za mało. Kiedy jednak doszli do wniosku, że mogliby spróbować, to byłem za bardzo zaangażowany w swój prywatny interes, czego żałuję. To była główna przyczyna.

**A.S.** A skąd ten pomysł na własny biznes?

**M.K.** Zupełny przypadek. To był w ogóle handel hurtowy owocami i warzywami, też to miało swój kres, ale można było przestawić się na inny interes z czasem. Jak mówię,

totalny przypadek na szybkie zarobienie. Wtedy zaczęły się rozwijać platformy, sieci hipermarketów i handel zaczął się wygaszać, trzeba było czegoś innego szukać. Ale ja to lubiłem, takie ryzyko sportowe w tym handlu było, trzeba było być czujnym. Teraz już jestem w branży bardziej dom i ogród.

**A.S.** Odbijając od tematu handlu i wracając do koszykówki, uważa Pan, że teraz jest trudniej zacząć ze sportem?

**M.K.** Myślę, że tak. Czeka na nich dużo pseudoprzyjemności. A żeby w ogóle zacząć, trzeba kogoś, kto by pokazał – może rodzic. Moi rodzice na przykład kazali mi się uczyć, nigdzie nie wychodzić. Więc przed treningiem chowałem na dworze plecak z ubraniami na trening. Potem brałem książki i mówiłem, że idę się uczyć z kolegą, zamieniałem książki na plecak i biegłem na trening. Podejrzewam, że teraz jest odwrotnie. Później jak już się trenuje i decyduje na koszykówkę, z perspektywy Zielonej Góry, zespół na poziomie ekstraligowym i klub młodzieżowy to jest za duża rozpiętość. Juniorów przechodzących do pierwszych zespołów ekstraligowych jest naprawdę niewielu. Nasi wychowankowie uciekają do pierwszych lig w innych miastach. Jest taka różnica w fizyczności między juniorem a seniorem ekstraligowym, że jest bardzo ciężko.

**A.S.** Wiemy, że Zastal uhonorował Pana zastrzeżeniem numeru 5, ma Pan jeszcze jakieś wspomnienia, z których jest Pan najbardziej dumny?

**M.K.** Takie, które najbardziej mi utkwiły, to rzut kończący mecz z trenerem Siwickim z Wybrzeżem. Był to bardzo ważny i nerwowy mecz w Gdańsku. Była sytuacja, gdzie równo z syreną kończącą udało mi się rzucić za trzy punkty i wygraliśmy mecz. Miałem też mecze gdzie zdobywałem po czterdzieści punktów i to też w meczach przeciwko takim zawodnikom jak Eugeniusz Kijewski. Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci mecz w Drzonkowie, mecz z Lechem Poznań, gdzie wygraliśmy. Nikt się tego nie spodziewał i kibice byli przeszczęśliwi. Wygraliśmy z Lechem Poznań, który w tym sezonie był na fali, zdobył mistrzostwo Polski.

**A.S.** Miał Pan swego idola? Osobę, która inspirowała Pana?

**M.K.** Najpierw, jak chodziliśmy na mecze na Wyspiańskiego na drugą ligę, mieliśmy po 12/13 lat, to wówczas starszy kolega, z którym później grałem, Zbigniew Kulka, on był takim niekonwencjonalnym zawodnikiem. Lubiałem jego grę, co zresztą później mu powiedziałem, że on był moim takim pierwszym wzorem. Wtedy nie było w telewizji NBA, nie było transmisji z meczy. Było trzeba w kiosku w kolejce czekać, żeby dostać taki tygodnik „Sportowiec”. Koszykówka była tam bardzo rzadko, od czasu do czasu. Mieliśmy też takiego trenera, Tadeusza Sajdę, miał spojrzenie zachodnie. Pokazywał nam filmy z projektora, z fragmentami meczów z NBA. Tam był taki Bob Kuzi. To był zawodnik, który pierwszy zastosował podanie za plecami. Był on moim zagranicznym wzorem. Spotkałem go osobiście po latach, jak już zakończyliśmy kariery. Na mistrzostwach świata dla zawodników do 188 cm. I polecieliśmy na zaproszenie Boba Kuziego na turniej. Powiedziałem mu swoją minihistorię.

**A.S.** Zdobył Pan drugi najlepszy wynik w historii Zastalu. Jakie uczucia towarzyszyły Panu w związku z tym wydarzeniem?

**M.K.** Tak, pamiętam, to był mecz z Pogonią Szczecin w Drzonkowie. Punkty się dla mnie wówczas nie liczyły, ale miałem jedno z niewielu uczuć na tym meczu, że po prostu nie mogę nie trafić, byłem w takiej formie, że co rzucałem w kierunku kosza to trafiałem. Takie uczucie zdarzyło mi się 4-5 razy. Jest to dziwne, rzucasz i czujesz, że trafisz.

**A.J.** Na koniec naszej rozmowy, wracając do młodych sportowców. Gdyby Pan mógł coś im powiedzieć na początek kariery, to co by to było?

**M.K.** Warto mieć przygodę związaną ze sportem, obojętnie jaka dyscyplina. Uczy to pokory w życiu, systematyczności. Uczysz się dbać o siebie. Przyjemność z tego należy czerpać na każdym etapie, czy jest się młodzikiem, juniorem, seniorem. Poprzez sport można uniknąć zagrożeń. Sport pomaga w wychowaniu. Patrząc na obecne czasy jest to bardzo ważna rzecz. Sport kształtuje ludzi.

**A.J.** Dziękujemy bardzo za rozmowę.

**A.S.** Bardzo miło było z Panem porozmawiać.

**M.K.** Cała przyjemność po mojej stronie.

---

Rozmawiały: Alina JANKOWSKA, Anastazja SIWICKA.

---

## Marcin Nitschke

„Nie myli się ten, kto nie pracuje”.

„Mistrz Świata w snookera [...] nazwał mnie takim tatą snookera”.

**Julia Imbierska (J.I.), Hanna Konarska (H.K.), Igor Wszyński (I.W.)** Gra pan w snookera od trzydziestu lat. Jakie były pana początki w tym sporcie?

**Marcin Nitschke (M.N.)** W snookera zacząłem grać blisko trzydzieści lat temu w Domu Kultury na Chynowie, gdzie całą historię zapoczątkował Pan Waldemar Matuszkiewicz, dyrektor Domu Kultury. Minęło już trochę czasu i teraz nie ma tam ani jednego stołu; mam nadzieję, że w najbliższych latach to się zmieni.

**J.I., H.K., I.W.** Czy od początku traktował Pan to jako Pańską przyszłość, czy na początku była to jedynie forma rozrywki?

**M.N.** Ja myślę, że spowodowane to było tym, że pochodząc z małej dzielnicy, jaką wcześniej był Chynów, gdzie – nie oszukujmy się, nie jesteśmy dużym miastem – nie było, co robić; Pan Waldemar Matuszkiewicz wprowadził stół do ping-ponga, do bilarda, później do snookera; przychodziłem i grałem, spędzałem tam cały czas, moi koledzy chodzili, palili papierosy, robili głupoty, a ja, do czego zawsze zachęcam, szukałem takiej drogi, która mogła mnie kształcić, więc przychodziłem codziennie, a że w domu się nie przelewało, nie było kasy, dlatego za grę musiałem pomóc, wnieść towar albo posprzątać.

**J.I., H.K., I.W.** Co uważa Pan za największy sukces w Pana karierze?

**M.N.** No przede wszystkim moim największym sukcesem jest to, że trafiłem na wspańiałych ludzi, którzy pomagali mi, nie tylko jako sportowcowi, ale też jako człowiekowi, dzięki temu rozwijam swoją karierę sportową. Mam żonę, mam syna, a największym sukcesem sportowym, poza medalami Mistrzostw Europy oraz Polski, jest to, że mogę dzielić się swoją pasją i edukować młodych ludzi. Najważniejszym sukcesem dla każdego człowieka powinno być to, że możemy dzielić się swoją pasją i chronić młodych ludzi przed złymi rzeczami takimi, jak narkotyki, takimi, jak smartfony i inne nałogi, bo każdy sport uczy ukierunkowania do różnych dziedzin.

**J.I., H.K., I.W.** Jak Pan się czuje w roli mentora dla młodych?

**M.N.** Powiem wam szczerze, że nie czuję się jakoś nadzwyczajnie. Bardziej czuję się, jak człowiek, który ma własną misję, własny kierunek. Nie ujmuję temu, co robimy, ale czuję się, jak zwykły, normalny człowiek, który ma pasję, który nie dał się ponieść żadnym używkom i od trzydziestu lat cały czas jestem nakręcony na sukces, na rozwój, na to, żeby pokazywać młodym ludziom, że warto uprawiać dyscypliny sportowe. Po to powstaje Nitschke Akademia Snookera, nie tylko, żeby edukować młodych ludzi, ale żeby nauczyć ich tej koncentracji, strategicznego myślenia.

**J.I., H.K., I.W.** Czy uważa się Pan za autorytet dla młodych zawodników?

**M.N.** Ja uważam się za ciężko pracującego człowieka, nie mnie oceniać. Mogą to oceniać osoby, które ze mną obcują. Natomiast śmieszna sytuacja – w ostatnim czasie w wywiadzie na żywo dla TVP Sport, Mistrz Świata w snookera zapytany o mnie, nazwał mnie takim tata snookera. Miło bardzo, nie ukrywam, że gdzieś tam łezka się w oku zakręciła. Wznowiliśmy Nitschke Akademia, bo była pauza na parę lat ze względu na brak miejsca, dzisiaj te dzieciaki przychodzą, a ich rodzice są szczęśliwi. Przede wszystkim jestem od tego, żeby wyznaczyć zawodnikom drogę. Mamy czterech medalistów mistrzostw Europy w Zielonej Górze i dwóch medalistów mistrzostw Świata, to jest tak jakby potwierdzające to, jak mocno i szeroko idziemy na skalę nie tylko Europy, ale i świata, jeśli chodzi o snookera.

**J.I., H.K., I.W.** Wiemy, że otwiera Pan Nowe Centrum rozrywki, czy może Pan zdradzić coś na jego temat?

**M.N.** To będzie centrum sportowe. Będzie kręgielnia, lotki, bilard. Znajdziecie też cocktail bar, akwarium, pięć tysięcy litrów – z rekinami, restauracja sushi. Kompleks trzy tysiące metrów. W przyszłym roku otwieramy – na ulicy Moniuszki.

**J.I., H.K., I.W.** Skąd się wziął pomysł na stworzenie akademii?

**M.N.** Kiedy jeszcze żył mój brat, Damian Nitschke, mieliśmy taką zajawkę, żeby pokazać szerszej publiczności gry bilardowe. Organizowaliśmy turnieje i już Damian mówił, że fajnie by było stworzyć coś jeszcze. Ja się cały czas szkoliłem i szkołę, wylaatywałem do Anglii do World Snooker Academy, gdzie aktualny mistrz Świata trenuje, pomyśleliśmy, że jest klub, przychodzą ludzie, popijają sobie czasem piwo, drinka, ale fajnie by było dać coś poza tym. Stąd zajawka na Nitschke Akademia Snookera i stąd pomysł, że trzeba ludziom pokazać kierunki i zarażać ich tą piękną dyscypliną, jaką jest snooker.

**J.I., H.K., I.W.** Jaki był główny cel Pana akademii?

**M.N.** Głównym celem akademii jest edukacja dzieci i młodzieży, wyznaczanie im drogi. Poznają tu młodych ludzi i przełamują schematy, a ponad wszystko celem jest nauka systematyczności. Poprzez zabawę i sport pokazujemy, że czas można spędzać inaczej – bardziej wartościowo.

**J.I., H.K., I.W.** Z czego Pan czerpie motywację?

**M.N.** Głównie dzięki mojej rodzinie. Kiedyś mi mądrzy ludzie powiedzieli: mistrzem jest ten, który dzieli się i szkoli swoich następców, to jest wielka wartość w każdym sporcie. Również zarażam ludzi pasją, uczę ich, żeby się nie poddawać. Mi też często się nie chce, ale dążę do dalszego rozwoju.

**J.I., H.K., I.W.** Czy podczas swojej drogi miał Pan momenty zwątpienia, w których chciał się Pan poddać?

**M.N.** Nigdy nie miałem momentu zwątpienia, zawsze miałem momenty zastanowienia. Gdy piętnaście lat temu zginął mój brat, wiedziałem, że wszystko się zmieni. Wtedy zacząłem nad sobą pracować jeszcze bardziej – nie tylko sportowo, ale także z psychoterapeutą. Momenty „zwątpienia” powinny być momentami do rozwoju i zastanowienia, co mogę ulepszyć i co się stało, że tracę motywację. Nie należy również skupiać się na niepowodzeniach – ludzie sukcesu szybko zapominają o porażkach.

**J.I., H.K., I.W.** Czy uważa pan, że zakładanie biznesu i bycie przedsiębiorcą w tych czasach jest sporym wyzwaniem?

**M.N.** Moi drodzy, przede wszystkim jeżeli wam ktoś kiedykolwiek powie, żebyście nie otwierali biznesu, nie angażowali się, to niech ten rozmówca, kulturalnie i etycznie popuka się w głowę, a wy nigdy nie możecie doprowadzić do tego, że ktoś będzie wam zabierał wasze pomysły, wasze wizje, wasze chęci. Dzisiaj zachęcam młodych ludzi do tego, żeby się rozwijali. Nie ma złych pomysłów. Nie myli się ten, kto nie pracuje, plan dobry to jest ten, który możemy zmienić. Jest to ogromne wyzwanie i jest to wielka trudność, ale gdyby każdy był bierny, to dzisiaj byśmy nie siedzieli przy tym stole.

**J.I., H.K., I.W.** Jaka jest historia Pana początków w biznesie?

**M.N.** Kiedy wynajmowaliśmy jeszcze na [ul.] Sulechowskiej z Damianem klub, płaciśmy bardzo wysokie czynsze, wtedy już powiedziałem, że przyszedł czas, gdzie trzeba zainwestować i wziąć kredyt na własny klub i różnica jest taka, że spłacamy te paręnaście tysięcy miesięcznie u siebie, a nie u kogoś. Kolejny przykład, wracam trzydzieści lat temu z Mistrzostw Polski, gdzie przyjechałem z Kalisza i dzwonię do brata, mówię: „Damian, otwieramy klub, a on mówi »jak otwieramy klub, jak mamy tylko 25 tysięcy«, ja mówię „otwieramy klub“, pożyczylem od jednego kolegi, od drugiego kolegi i pieniądze oddaliśmy po roku. Tak że naprawdę namawiam was do tego, żebyście mieli swoje pomysły, bo nie ma złych pomysłów. Nigdy błędy czy porażki nie można w ten sposób nazywać. Każda sytuacja to nauka. Ja całe życie się uczę.

**J.I., H.K., I.W.** Popelnia Pan dalej błędy?

**M.N.** Oczywiście, że robię błędy, jestem tylko człowiekiem. Każdy robi błędy i pozwólmy sobie na te puentę, lepiej stracić z mądrym niż zyskać z głupim. Jeżeli czujecie, że ktoś was ciągnie w dół, to niestety musicie się od takich ludzi izolować. To też jest ogromny sukces. Jeżeli nie nauczycie się izolować od ludzi, którzy są toksyczni, to zapomnijcie o własnym sukcesie.

**J.I., H.K., I.W.** Czy uważa Pan, że istnieje coś takiego, jak „przepis na sukces“?

**M.N.** Nie ma przepisu na sukces w rozumieniu, że budzimy się rano i osiągamy sukces. Natomiast przepisem na sukces jest konsekwencja i systematyczność. Możemy mieć talent, ale samym talentem nie osiągniemy sukcesu – najważniejsza jest ciężka praca.

**J.I., H.K., I.W.** Podsumowując, jest Pan zadowolony z miejsca, w którym Pan teraz jest?

**M.N.** Jestem tak nienasycony, ale uważam, że coś zrobiłem do dnia dzisiejszego, a wielkie rzeczy są przed nami. Moi koledzy mówią, że poważne życie zaczyna się dopiero po czterdziestce i największe sukcesy osiągnąłem w tym roku.

---

Rozmawiali: Julia IMBIERSKA, Hanna KONARSKA, Igor WYSZYŃSKI.

---

## Michał Kołtun

„Byłem na Śnieżce i potem [...] wszedłem na Mont Blanc”.  
„Żyjemy tutaj na tej jednej planecie [...], na takiej małej niebieskiej kropce, która gdzieś tam sobie lata po nieskończonym kosmosie”.

**Tetiana Kravchenko (T.K.), Antonina Kruk (A.K.), Martyna Pawlak (M.P.)** Dzień dobry. Cieszymy się, że zgodził się Pan z nami spotkać i odpowiedzieć na kilka pytań. Co przekonało Pana do wystartowania w tegorocznych wyborach samorządowych?

**Michał Kołtun (M.K.)** To była sytuacja dosyć spontaniczna. Nie planowałem tego startu w wyborach. Całe życie byłem społecznikiem, organizowałem różne akcje, między innymi jestem prezesem klubu motocyklowego, fundacji Motozwierzyńiec. Byłem przez to rozpoznawalny na terenie gminy, szczególnie w Siedlisku. Później zacząłem organizować różne akcje ekologiczne. Nasza gmina, Siedlisko, uczestniczyło w takich ogólnopolskich akcjach, jak Kręci Nas Recykling czy Czysta Odra. Także współpracowałem z wieloma różnymi instytucjami, między innymi z leśnikami z Nadleśnictwa Nowosolskiego czy myśliwymi, a przede wszystkim angażowałem lokalną społeczność do sprzątnięcia terenów Odry i lasów wokół Siedliska. Wykorzystywałem często zamek, który znajduje się w Siedlisku. Jest co prawda obiektem prywatnym, ale generalnie dużo się tam działo w ostatnich latach i ja miałem tam swój udział, stąd jakby stałem się taką osobą dosyć popularną i rozpoznawalną. Ja się nigdy tak naprawdę nie interesowałem polityką, byłem, można powiedzieć, działaczem, przyrodnikiem, interesowałem się turystyką, promocją regionu. Na początku w ogóle o tym nie myślałem i dałem się namówić pierwotnie na kandydowanie na radnego do Rady Powiatu w Nowej Soli przez obecną Panią Prezydent Beatę Kulczycką. To też nie było tak, że od razu się zgodziłem, bo musiała mnie trochę do tego namówić. I to był pierwszy krok do mojej drogi samorządowej, bo, jak już się zgodziłem na bycie radnym, to potem było mi łatwiej się zgodzić na kandydowanie na stanowisko wójta. Tak naprawdę to nie było tak, że ja sobie to wymyśliłem czy zaplanowałem, ale dostawałem sygnały od mieszkańców, żebym spróbował. Na początku sugerowali delikatnie, potem zaczęli mnie cisnąć dosyć mocno. Dużo osób ze mną rozmawiało na ten temat, pisało do mnie wiadomości. W pewnym momencie pomyślałem, że dlaczego nie i postanowiłem spróbować. Można powiedzieć, że jeszcze we wrześniu w ogóle nie brałem tego pod uwagę, a wszystko się rozegrało w październiku. Wtedy podjąłem decyzję, że wystartuję.

**T.K., A.K., M.P.** Z tego co wiemy, nigdy wcześniej Pan nie uczestniczył aktywnie w życiu politycznym, więc dlaczego od razu stanowisko wójta?



**M.K.** Dokładnie tak, jak powiedziałem; nie interesowałem się polityką. Jednak zawsze jak się czegoś podejmuję, lubię mierzyć wysoko. Nigdy nie uznawałem półśrodków, lubię duże wyzwania. Takim przykładem jest to, o czym mówiłem w trakcie kampanii. Ja lubię chodzić po górach i zawsze to były Karkonosze, najwyżej byłem na Śnieżce i potem od razu wskoczyłem na głęboką wodę, wszedłem na Mont Blanc, czyli na najwyższą górę w Europie. To też było niemałe wyzwanie, a takich przykładów w życiu mam dużo. Zawsze sobie stawiałem wysoko poprzeczkę i zazwyczaj mi się to udawało. Tym razem też się udało. Myślałem też, żeby kandydować na wójta i na radnego, bo była taka możliwość, ale później pomyślałem, że chyba lepszą decyzją jest kandydowanie tylko na wójta, bo bycie radnym nie miałoby takiego wpływu, jakiego wymaga nasza gmina. Teraz, już po wygraniu wyborów, to wszystko się potwierdza. Widzę, że jest naprawdę bardzo dużo możliwości, które możemy wykorzystać, a które wcześniej nie były wykorzystywane. Gdybym startował i na wójta, i na radnego jednocześnie, to miałbym obawy, że mieszkańcy pomyślą, że nie znają tego człowieka za dobrze, więc może na razie zagłosują, żeby był radnym, a jak się sprawdzi, to za pięć lat dadzą szansę na zostanie wójtem. Chciałem uniknąć takiej sytuacji, bo jako radny to praktycznie nie miałbym tutaj żadnego wpływu, a jednak gmina wymaga mocnego działania od razu. Dlatego postanowiłem od razu kandydować tylko na wójta.

**T.K., A.K., M.P.** Czy obawiał się Pan trudności związanych z brakiem doświadczenia?

**M.K.** Nie obawiałem się. Może to jest trochę dziwne, ale to jest właśnie to, że ja zawsze podejmowałem takie trudne i ambitne zadania. Zazwyczaj to się udawało. Na pewno będę musiał się w to wdroić, ale po tych dwóch tygodniach, które mijają, jestem naprawdę dobrej myśli. Pracy jest bardzo dużo, ale czuję, że to była bardzo dobra decyzja. Czuję, że to jest moja droga. Uważam, że przede wszystkim trzeba się otoczyć fachowcami. Rola wójta tak naprawdę w dużej mierze polega na ambitnych wyzwaniach, rozmowach z ludźmi i współpracy z gminą. Ja jestem osobą dosyć kontaktową i także poza gminą nawiązuję dużo nowych znajomości. Dosyć dużo osób już znałem dzięki mojej wcześniejszej społecznej działalności. Dzięki temu poznałem podczas jednej z akcji ekologicznych obecną Panią prezydent Nowej Soli, Beatę Kulczycką. Przez te wszystkie lata mojej działalności poznałem dużo takich osób, z którymi mógłbym nawiązać współpracę. Czuję naprawdę bardzo dobrą energię i widzę, że ludzie chcą zmiany. Najważniejsze jest to, żeby sprawić, aby ci wszyscy ludzie wokół byli decyzyjni, żeby czuli się potrzebni. Chętnie wykorzystam doświadczenie tych osób. Nie obawiałem się mojego braku doświadczenia, bo założyłem sobie, że trzeba być ambitnym i trzeba działać. Jakby człowiek wszystkiego się obawiał, to nigdy by nic nie zrobił i niczego nie osiągnął. Po prostu trzeba działać.

**T.K., A.K., M.P.** Jak ocenia Pan przebieg własnej kampanii wyborczej? Czy zrobiłby Pan dzisiaj coś inaczej?

**M.K.** Nie chcę wyjść na zarozumiałego człowieka, ale wydaje mi się, że mieliśmy bardzo dobrą kampanię. Zresztą to z zewnątrz otrzymuje takie sygnały. Słyszałem od wielu polityków, nawet już po wyborach, że nasza kampania była wzorowa, książko-

wa, jak to określano. Nie skupiałem się na negatywach, chciałem budować pozytywną kampanię. Nie mówiłem o tym, co złego się działo w naszej gminie, tylko szukałem tego, co dobrego można zrobić. Przeszłość chciałem odciąć grubą kreską i skupić się na zmianach, np. na pozyskiwaniu nowych środków i na działaniu. Myślę, że coś, co mógłbym poradzić wszystkim przyszłym kandydatom, to aby skupili się na rozmowach z mieszkańcami. Po drugie, żeby nie robić negatywnej kampanii, bo nikt nie lubi, kiedy politycy się kłócą. Postawiłem sobie za cel odwiedzić domy wszystkich mieszkańców i tak też się stało. W naszej gminie jest kilka wsi, mimo to każdy dom odwiedziłem i z każdym mieszkańcem porozmawiałem. Nawet zdarzało mi się wielokrotnie, że jechałem na drugi koniec gminy, żeby odwiedzić kilka brakujących domów. Organizowaliśmy również spotkania na salach wiejskich, aby mieszkańcy także mogli przyjść do mnie. Generalnie byłem cały czas otwarty na rozmowy. Myślę, że to była dobra kampania. Drugi raz za dużo bym w niej nie zmienił. Zresztą widać, że przyniosła skutek, zdobyłem dwie trzecie głosów. To chyba świadczy o tym, że to była dobra kampania. Na pewno mi pomogło to, że byłem człowiekiem z zewnątrz. Myślę, że w tym przypadku to miało znaczenie. Mój poprzednik był przez pięć kadencji i ludzie w tej gminie byli już dosyć mocno skłócenii. Tutaj trudno byłoby wygrać komuś miejscowemu. Ja byłem człowiekiem z zewnątrz, mieszkałem w innej miejscowości. Zamieszkałem w gminie Siedlisko na stałe dopiero około siedmiu lat temu. Kampania była dobra i myślę, że nic bym w niej nie zmienił.

**T.K., A.K., M.P.** Wspomniał Pan, że Siedlisko przez 25 lat znajdowało się pod władzą Dariusza Strausa. Czego, Pana zdaniem, brakowało mieszkańcom Siedliska, że po tylu latach zdecydowali się zawalczyć i zaufać nowej władzy?

**M.K.** Wydaje mi się, że brakowało już energii. Po tylu latach człowiek nie ma takiego świeżego spojrzenia. Przede wszystkim była bardzo duża różnica, nawet wizualna pomiędzy naszą gminą a wszystkimi ościennymi. Zostawaliśmy w tyle. Tak się składa, że otaczają nas bardzo dobrzy włodarze, Pan Sauter, burmistrz Bytomia Odrzańskiego, to naprawdę świetny włodarz, którego mógłbym określić moim wzorem. Chciałbym się od Pana Sautera trochę nauczyć. Jest bodajże już sześć kadencji i ma około 80% poparcia. Naprawdę doskonały przykład do naśladowania. Myślę, że w skali kraju mało jest takich dobrych włodarzy. Później Pani Izabela Bojko z gminy wiejskiej Nowa Sól. Ta gmina również bardzo dobrze prosperuje. Wszędzie widać nowe inwestycje i gmina się świetnie rozwija. Kolejna gmina, która świetnie działa, to gmina Otyń, którą zarządza Pani Barbara Wróblewska. Tam też widać dobre wykorzystywanie środków zewnętrznych. Prawie każda gmina dookoła się rozwijała, a nasza niestety stała w miejscu. Wydaje mi się, że te różnice już były zbyt duże. Trudno było nie zauważyć, że coś jest nie tak. To na pewno mi ułatwiło wygraną, bo te potrzeby zmian były już bardzo duże, zauważalne gołym okiem. Nawet jeśli chodzi o infrastrukturę albo już nie wspomnę o wodzie w naszej gminie, która stale boryka się z problemami. Czysta woda, wodociągi i kanalizacja, czyli cała ta infrastruktura wodno-kanalizacyjna kuleje w gminie i ludzie powoli mają tego dość. Brakuje żłobka, mamy

teraz jedynie stare, czterdziestoletnie przedszkole, które należałoby przebudować. Tych problemów jest bardzo dużo. Do wykorzystania było bardzo dużo środków unijnych, które zostały zaprzepaszczone. Niestety nasza gmina z tego nie skorzystała. Też wydaje mi się, że bardzo mi pomogła opozycja, która przez ostatnią kadencję otwierała mieszkańcom oczy. Była to bardzo mocna opozycja, która pokazywała, co jest niezrobione. Tu jeden czy drugi projekt nie został wykorzystany, to i tamto jest źle zrobione. Ludzie to cały czas widzieli. Powstawały gazetki, foldery i strony internetowe, gdzie były pokazywane wszystkie niedociągnięcia mojego poprzednika. Wcześniej, kiedy nie było żadnej opozycji w Siedlisku, to wydaje mi się, że dużo ludzi nie zdawało sobie sprawy z tego, jak wiele omija naszą gminę.

**T.K., A.K., M.P.** Czy uważa Pan, że jest w stanie sprostać oczekiwaniom mieszkańców gminy?

**M.K.** Będę się starał na pewno, żeby sprostać tym oczekiwaniom; gdybym nie wierzył, że mi się uda, to na pewno bym nie kandydował. Jestem dobrej myśli i uważam, że będzie dobrze. Już teraz mieszkańcy mówią, że już jakieś pierwsze oczekiwania zostały spełnione. Cały urząd gminy na to pracuje i pracownicy zakładu gospodarczego. Bo nawet jeśli chodzi o wizualny efekt, który najłatwiej osiągnąć niewielkim kosztem, to w pierwszych dniach już odnowiliśmy wszystkie przystanki autobusowe. Może jest to prosty przykład, ale tam wystarczyło wydać dyspozycję na puszkę farby do metalu, do drewna i odmalować wszystkie przystanki autobusowe, które już były przardzewiałe. Wydawać by się mogło, że jeszcze trochę i by się zawaliły. A teraz są piękne. Tak samo, jeśli chodzi o zagospodarowanie zieleni. Były miejsca w Siedlisku, gdzie od wielu lat chwasty rosły na metr. Nawet były to miejsca bardzo widoczne, bo przy wjeździe do Siedliska, pierwsze metry chodników. W tych pierwszych dniach już zostało wszystko oczyszczone. Jesteśmy na etapie zatrudniania fachowca od projektów twardych i miękkich zewnętrznych, żeby żadne projekty już nas nie ominęły. Także myślę, że naprawdę będzie dobrze. Przede wszystkim bardzo ważne jest to, że mam większość w radzie gminy. Wszystkie nasze pomysły na pewno będą przechodzić. Zresztą niektórzy radni mojego oponenta też przyjęli nasz punkt widzenia. Na piętnastu radnych, myślę, że dwunastu mam swoich, dziewięciu ze swojego komitetu, ale myślę, że dwunastu, jak nie więcej, to są tak naprawdę za nami. Tak że to też nam otwiera wiele możliwości. Także i tutaj jestem jak najbardziej optymistą w tej kwestii.

**T.K., A.K., M.P.** Jak Pan widzi przyszłość Siedliska?

**M.K.** Widzę przyszłość Siedliska świetlaną. Uważam, że to gmina z olbrzymim potencjałem. Na pewno nie będziemy tutaj budować jakiejś infrastruktury ściśle przemysłowej. Naszym największym atutem jest przyroda i historia. Na terenie naszej gminy znajduje się piękny zamek, który od lat był niewykorzystywany. Znajduje się on w rękach prywatnych, ale przez wszystkie akcje społeczne, które organizowaliśmy, znam właściciela. Tak że zamek na pewno będzie w jakimś stopniu udostępniony. Na nasze spotkania podróżników, które organizowaliśmy na zamku, przyjeżdżali ludzie z całej Polski. Z Mazur, z Bieszczad, z Trójmiasta i ze Szczecina. Tak że, dużo się dzia-

ło i potrafiliśmy pokazać piękno naszego regionu. Chcielibyśmy wrócić do imprez kulturalnych, które tam się będą odbywać. No i przede wszystkim to jest nasz największy atut naszej gminy. Mamy w planach pewne projekty i jak zatrudnimy tę osobę, która nam pomoże, to wierzę, że uda nam się to zrealizować. Tak naprawdę to chyba turystyka jest naszą największą siłą. Wydaje mi się, że możemy stać się taką „luksusową sypialnią” dla mieszkańców i Nowej Soli, i Głogowa. Bielawy też mogą stać się potencjalnie bardzo ciekawym punktem, gdzie mieszkańcy będą chcieli mieszkać. Oprócz zamku posiadamy również wiele cennych historycznie, a do tej pory w ogóle niewykorzystywanych miejsc, jak na przykład kurhany z epoki łużyckiej, które mają trzy tysiące lat. Podobne znajdują się na Kaszubach, a Kaszuby właśnie słyną z tego typu miejsc, gdzie zawsze przy wjeździe są reklamy tych kurhanów. U nas gdzieś tam w lesie one się znajdują, ale nikt o nich nie wie. Chcemy je wyeksponować. Mamy dużo takich miejsc, które mogą przyciągnąć turystów. Powstanie w ciągu dwóch, trzech lat kładka pieszo-rowerowa, która połączy nas z Bytomiem Odrzańskim. Tak że też turystyka rowerowa na pewno będzie się rozwijać. No myślę, że nasza gmina ma naprawdę bardzo duże możliwości. Jest przede wszystkim bardzo pięknie usytuowana nad Odrą, w otoczeniu Lasów Natury 2000, bo tutaj znajduje się właśnie ten obszar chroniony, Nowosolska Dolina Odra. Z drugiej strony otacza nas Puszcza Tamowska, też jeden z największych kompleksów leśnych w naszym województwie. Tak że myślę, że jeżeli to wszystko będziemy umieć zagospodarować, a wierzę, że będziemy umieć, to uważam, że mamy bardzo duże szanse stać się bardzo interesującym miejscem na mapie województwa.

**T.K., A.K., M.P.** To jak już mówimy o naturze... Jaka rolę odgrywa natura w Pana życiu?

**M.K.** Natura, przyroda odgrywa bardzo dużą rolę w moim życiu. Samo to, że poszedłem w tę stronę i otworzyłem sklep turystyczny E-traper. No niestety teraz będę musiał z niego zrezygnować, bo jako wójt nie mogę prowadzić żadnej działalności gospodarczej. Ale to też pokazuje, że zawsze byłem z tą turystyką zżyty. Samo to, że chodzę po wysokich górach i jestem dużym promotorem turystyki nadodrzańskiej. Mieszkam nad Odrą. Tutaj nasz odcinek jest jednym z najładniejszych odcinków na całej długości tej rzeki. Zorganizowałem wiele spływów kajakowych promujących tę turystykę. Między innymi w zeszłym roku zorganizowałem taki duży spływ na kilkadziesiąt osób, żeby pokazać, z okazji Dnia Ojca, tę turystykę młodym i starszym ludziom oraz by zintegrować mieszkańców. Jestem zainteresowany przyrodą od małego, od zawsze byłem. Właśnie dlatego ostatecznie zamieszkałem w Siedlisku. Kiedyś codziennie przed pracą, jak jeszcze mieszkałem w Nowej Soli, jeździłem rowerem po jej okolicach. Bardzo często jeździłem po gminie Siedlisko. Ta okoliczna przyroda przyciągała mnie do tego miejsca. kilka lat temu, po tym jak już tam zamieszkałem, stworzyłem stronę na Facebooku „Siedlisko nad Odrą”, na której pokazywałem walory przyrodnicze Gminy i jej okolic. Ta strona na dziś ma 2,5 tysiąca obserwatorów. To jest dosyć dużo, bo w naszej gminie mieszka około 3,5 tysiąca mieszkańców. Oczywiście

ście tymi obserwatorami nie są tylko osoby z gminy, ale jest ich bardzo dużo. Miałem swoje wernisaże fotograficzne, między innymi w bibliotece, w Siedlisku. Podczas moich wystaw fotograficznych, które mieszkańcy Siedliska oglądali, to tak naprawdę nikt nie był w stanie uwierzyć, że te zdjęcia były zrobione kilkaset metrów za płotami ich domów. Po prostu trzeba się znaleźć w odpowiednim miejscu, odpowiedniej porze i potrafić uchwycić to piękno, a to piękno naprawdę jest wyjątkowe w naszej okolicy. Jestem bardzo zżyty z przyrodą i chyba jest to moja największa pasja życiowa.

**T.K., A.K., M.P.** Często widuje się Pana inicjatywę dotyczącą akcji związanych z dbaniem o środowisko. Skąd w Panu taka potrzeba?

**M.K.** No to jest właśnie związane z tą miłością do przyrody i uważam, że trzeba dbać o tą swoją miłość. Żyjemy tutaj na tej jednej planecie, która tworzy jeden duży ekosystem. Takim moim mottem jest „myśl globalnie, działaj lokalnie”. To, co możemy zmienić w swoim małym środowisku, ma wpływ tak naprawdę na całą planetę. Uważam, że to, co się aktualnie dzieje, w jakim kierunku idzie świat, to też nie jest do końca dobre. Powinniśmy żyć w zgodzie z naturą, bo to jest jedyne wyjście, jedyna droga tak naprawdę, żeby nam się tutaj dobrze żyło na naszej planecie. Skończyłem filozofię i mam na to punkt widzenia trochę filozoficzny. Cały czas mam świadomość, że jesteśmy, mieszkamy na takiej małej niebieskiej kropce, która gdzieś tam sobie lata po nieskończonym kosmosie, czarnym, zimnym. Jest to taka nasza oaza, taka arka – można by powiedzieć i musimy o nią dbać. Naprawdę niewiele potrzeba, żeby zakłócić ten cały ekosystem i to się może skończyć źle dla życia na naszej planecie. Oczywiście to wszystko z czasem się ustabilizuje, ale nie wiadomo, czy my do tego czasu jeszcze będziemy zamieszkiwać tę planetę. To jest bardzo ważne, żeby dbać o przyrodę. Stąd też właśnie mój udział i organizacja tych wszystkich akcji proekologicznych. Muszę też przyznać, że nasze akcje, które organizowaliśmy, odniosły duży sukces ogólnopolski. Dzięki akcji Czysta Odra w naszym powiecie dostaliśmy olbrzymi grant, to było prawie sześćdziesiąt tysięcy złotych na zarybianie Odry. Podczas akcji Kręci Nas Recykling raz dostaliśmy grant dwa tysiące na przebudowę przytuliska dla zwierząt w Siedlisku, a teraz podczas drugiej edycji, tuż przed wyborami, dostaliśmy grant dwa tysiące, które przekazaliśmy na opony dla Ochotniczej Straży Pożarnej w Siedlisku. Cały czas coś się działo i nasze akcje były naprawdę duże. Odniosły ogromny sukces nawet na skalę kraju. Wybrano tylko dziesięć najlepszych akcji w Polsce, które dostawały nagrody.

**T.K., A.K., M.P.** Jak zaczęła się Pana pasja do podróżowania?

**M.K.** Od małego chłopca wszędzie chodziłem. Miałem takiego kolegę z przedszkola. Mamy nam robiły kanapki, a my szliśmy przez pola. Na przykład na most w Stanach, który był jeszcze w ruinie. Gdzieś tam sobie ognisko robiliśmy. To były niesamowite przygody, które pamiętam do dzisiaj, a to już ze czterdzieści lat od nich minęło. A wydaje się, jakby to było wczoraj. Ja za dużo tak naprawdę nie podróżowałem po świecie. Moje najbardziej spektakularne wyjazdy to jest wejście na Mont Blanc zaraz po wejściu na Śnieżkę. Byłem na Islandii, też ze względów właśnie strictly przyrodni-

czych. Takie skandynawskie klimaty bardzo mnie pociągają. Mimo wszystko, 99% mojego zainteresowania to lokalna przyroda. Gdziekolwiek nie pojedziemy ze znajomymi, jak jeździmy po Polsce, czy gdzieś tam chodzimy po górach dalej, bliżej, ja zawsze mówię, że no ładnie, że bardzo ładnie tutaj jest, ale i tak nad Odrą jest najładniej. Uważam, że tutaj naprawdę żyjemy w wyjątkowo pięknym miejscu. Ta przyroda tutaj jest bardzo bujna, dzika i piękna. My może tego nie doceniamy, bo tutaj się wychowaliśmy, ale dla osób, które przyjeżdżają z innych rejonów Polski czy nawet świata, naprawdę jesteśmy wyjątkowym miejscem na mapie naszego globu. Odbyłem na przykład taki spływ kajakowy, popłynąłem sam starym Odrzyskiem. To takie stare połączenie wodne Siedliska z Przyborowem. Właściwie można powiedzieć, że była to przeprawa, bo na odcinku czterech kilometrów to kilometr co najmniej musiałem ciągnąć kajak po brzegu. Podczas tej przeprawy przeżyłem coś naprawdę niesamowitego. Było tam jak w jakiejś tropikalnej dżungli. Ten rechot żab, śpiew ptaków i przepiękna przyroda. Tutaj ta przyroda jest wyjątkowo piękna i po prostu trzeba umieć ją docenić. Kiedyś też jedna ciekawa sytuacja miała miejsce. Kiedyś, jak Odra wylała, to zabrałem syna na taki krótki, dosłownie kilometrowy spływ po zalanym lesie u podnóża zamku, gdzie też po prostu poczuliśmy się, jakbyśmy płynęli po Amazonce czy po Missisipi. Ja od małego chłopca lubiłem oglądać przyrodnicze programy Davida Attenborougha, w których pokazywał swoje podróże. A tutaj dosłownie mamy coś takiego samego pod samym domem. Nasza przygoda kajakowa skończyła się w studiu TVN-u, bo nagraliśmy krótki filmik z naszej przeprawy, który wrzuciliśmy do Internetu. Kilka godzin po wrzuceniu popularność tego postu była niesamowita. Dostałem telefon z Lasów Państwowych, gdzie w pierwszym momencie pomyślałem, że zrobiliśmy coś chyba nie tak, że może jakiś mandat nas czeka. A wręcz przeciwnie, Nadleśnictwo chciało wykorzystać nasz film w celach promocyjnych, na co oczywiście się zgodziliśmy. Najpierw mieliśmy swój wywiad w Polsacie, bo Nadleśnictwo współpracowało z Polsatem, a na drugi dzień dostaliśmy zaproszenie do programu Dzień Dobry TVN, gdzie pojechaliśmy z kajakiem wraz z moim synem. Tak że to też była piękna przygoda. I to pokazuje to właśnie, o czym mówiłem, że prawdziwe piękno czai się tuż za rogiem, tylko trzeba potrafić je dojrzeć.

**T.K., A.K., M.P.** Jaka podróż była dla Pana najbardziej atrakcyjna?

**M.K.** Najbardziej atrakcyjne to są te koło domu. To jest właśnie to, że nie trzeba podróżować nie wiadomo, gdzie, nie wiadomo, za jak wielkie pieniądze. Tylko naprawdę wystarczy kupić rower czy kajak, w szczególności kiedy w naszej okolicy jest tyle niesamowicie pięknych miejsc, które można zobaczyć. Właśnie te podróże kajakowe, tutaj po lokalnych kanałkach. Też pamiętam, jak popłynąłem kiedyś spod zamku w Siedlisku Odrą. Dopłynąłem na wysokości szóstego stawu. Do Odry wpada kanał Kopanica i tym kanałem popłynąłem pod prąd z powrotem do Siedliska. I to są naprawdę wielkie przygody i każdemu polecam, żeby coś takiego zrobić. Zawsze też się zastanawiałem, że ludzie są w stanie wydać na wyjazd kilkanaście tysięcy, jechać do Turcji i siedzieć tam w jakimś hotelu *all inclusive* i, moim zdaniem, tracić czas. Za uła-

mek tych pieniędzy można by było kupić jakieś świetne rowery czy kajak i tutaj naprawdę lokalnie przeżyć, moim zdaniem, o wiele piękniejsze przygody. Też polecam każdemu zakup motocykla, który również jest niesamowitą odskocznią. Można powiedzieć przedłużeniem tych wszystkich moich wcześniejszych podróży. Bo najpierw, tak jak wspominałem, od małego chłopca chodziłem na piechotę. Po prostu wszystkie okolice poznałem bardzo dokładnie. Potem wszystko z kolegami objeździliśmy rowerami. To był jeszcze większy zasięg. No ale potem chciałem zobaczyć, co się dzieje jeszcze dalej i zwiększyć ten zasięg. Ale tak, żeby w ciągu jednego dnia można było to wszystko zobaczyć. I tutaj doskonałym środkiem komunikacji jest motocykl. Można komfortowo podróżować z pasażerem i stwarzają [się] niesamowite możliwości podróży. Jest to zupełnie coś innego niż jazda samochodem, bo cała przestrzeń dookoła człowieka jest otwarta. Czuć zapachy, nie wiem, mijanego rzepaku. Tak że, no bardzo polecam motocykle.

**T.K., A.K., M.P.** Skoro już mowa o motocyklach, to mówił Pan, że jest inicjatorem popularnej lokalnie akcji Motozwierzyńiec. Jak narodził się pomysł?

**M.K.** Pomysł narodził się z tego wszystkiego, o czym mówiłem. Bo będąc pasjonatem naszego regionu i znając w cudzysłowie każdy drewniany kamień w lesie, mnogość zabytków i różnych ciekawych miejsc do zobaczenia w naszej okolicy, chciałem pokazać te widoki innym. Gdy tylko kupiłem swój pierwszy motocykl, kupiłem go jesienią. Bodajże 2008 roku. To już na wiosnę 2009 roku zorganizowałem dla kolegów, których już zdążyłem poznać gdzieś tam przez Internet, pierwszy taki mały zlot. Pierwotnie miał się odbyć u mnie na ogrodzie. Ale jak frekwencja przekroczyła pojemność mego ogrodu, to zmieniłem miejsce i tak powstał pierwszy zlot motocyklowy w Zwierzyńcu. Zwierzyńiec to jest taka mała wieś obok Siedliska. Tam jest kilka domków, ale znajduje się tam duża, myśliwska, bardzo malownicza wiata. No i tam zrobiliśmy pierwsze spotkanie. Tak się potem to wszystko rozwinęło, że po latach stałem się prezesem fundacji Motozwierzyńiec. Nazwa powstała od nazwy wsi Zwierzyńiec. Zorganizowaliśmy w samym Zwierzyńcu dziesięć bardzo dużych zlotów. Ale takie najbardziej spektakularne imprezy to są te zloty na zamku w Siedlisku, które nazywają się Wakacje z Duchami. Zawsze je organizujemy we wrześniu. Przyjeżdża na nie bardzo dużo ludzi z całej Polski. Tak, jak już wspominałem, organizujemy też podczas każdej imprezy wycieczki. Ostatnio już są połączone nawet z rejsem Laguną po Odrze tak, żeby jak najbardziej pokazać to piękno i atrakcje naszego regionu.

**T.K., A.K., M.P.** Jak wyglądała organizacja pierwszego zlotu?

**M.K.** Wszystko zaczęło się z chęci pokazania naszego lokalnego piękna ludziom z daleka. Tak, jak już wspominałem, miało się to odbyć u mnie na ogródku. Potem się okazało, że tych gości będzie bardzo dużo. Około 30-40 motocykli przyjechało w piątek, a całą sobotę jeździliśmy i zwiedzaliśmy okolice. Pojechaliśmy do fabryki DAG w Nowogrodzie Bobrzańskim. To miejsce jest czymś niesamowitym. Również zwiedziliśmy bunkier Wilkocina oraz zabytkowy Dąb Chrobry. Na zlocie były spartańskie warunki i dużo ludzi to wspomina bardzo miło. Tam praktycznie nic nie było, tylko

gdzieś tam z domu wozilem przygotowaną wodę i robiłem gościom kawę rano. Byli tam ludzie zaprawieni w boju. Nie byli roszczeniowi i wymagający. Wystarczył im kawałek łąki, ognisko, wiata i jakaś gitara. To było właśnie to, co się najbardziej podobało ludziom. I przede wszystkim te wycieczki. Po tym pierwszym zlocie założyliśmy już fundację z lokalnymi motocyklistami. Zaczęliśmy robić takie zloty z prawdziwego zdarzenia, gdzie grały lokalne zespoły. Między innymi od zawsze u nas grał zespół „Ten Rupees”, gdzie gitarzystą jest mój szwagier. Tradycją na naszych zlotach był zawsze pieczony dzik. Czasami było to pieczone prosię. Były takie sielskie warunki. Przez te wszystkie lata doszliśmy, już można powiedzieć, do perfekcji w organizowaniu tych imprez. Te imprezy motocyklowe i zloty podróżników na zamku są doskonale zorganizowane. Tutaj nie będę skromny, bo to nie jest tylko mój udział, tylko całego zespołu. Całej fundacji. Każdy wie, co ma robić. Na czas zlotu podświetlamy cały zamek lampami LED. Jest kolega, który potrafi świetnie gotować, więc zawsze coś szykuje. Jak robimy te zloty jesienią, to czasami potrafi być tak zimno, że namioty są rano całe oszronione. Ja mam z kolei doświadczenie w organizacji tych wycieczek i całej otoczki. Każdy ma swoje zadanie. Przygotowanie takiej dużej imprezy zajmuje nam jeden, dwa dni. To już jest rutyna dla nas. To wszystko się bardzo dobrze rozwinęło. Wydaje mi się, że jeżeli człowiek ma takie pozytywne nastawienie do życia i otacza się dobrymi ludźmi, to nie może być inaczej.

**T.K., A.K., M.P.** Wcześniej wspominał Pan, że ukończył filozofię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Skąd decyzja na taki kierunek? I dlaczego Uniwersytet Zielonogórski?

**M.K.** Ja od zawsze się interesowałem filozofią, i tym, co jest we Wszechświecie. Można powiedzieć, że cały czas z tyłu głowy mam tę świadomość, że jesteśmy tutaj na krótki czas i mieszkamy na tym małym pikselu gdzieś tam w nieskończonej czarnej przestrzeni. Musimy ten swój krótki czas wykorzystać jak najlepiej, by zostawić po sobie coś dobrego. Być jak najlepszą wersją samego siebie, bo tylko to możemy zrobić. Rzeczy materialne nigdy nie miały dla mnie dużego znaczenia. Na początku miały to być inne studia. Maturę udało mi się dosyć dobrze zdać. Dostałem się na elektronikę i telekomunikację. Na początku poszedłem na Politechnikę Wrocławską, jednak poczułem, że to nie jest to, co bym chciał robić. Potem kilka razy zmieniałem uczelnię, bo szukałem swojego miejsca, jakiejś drogi życiowej. Mój tata ma firmę budowlaną, więc pomyślałem, że może budownictwo? W kolejnym roku postanowiłem spróbować budownictwa. To też była Politechnika Wrocławska. Jednym z przedmiotów była filozofia. Od razu poczułem, że to jest to, co mnie interesuje. I nie patrząc na to, co będę później w życiu robić, po prostu wiedziałem, że muszę tego spróbować. Stwierdziłem, że to jest to, co zawsze było we mnie. No i rzuciłem te drugie studia. Jestem pasjonatem lokalnym, więc bardzo mi to odpowiadało, że akurat otwierano nowy kierunek na Uniwersytecie Zielonogórskim, którym była filozofia. Byli tam bardzo dobrzy profesorowie, których do dzisiaj bardzo dobrze wspominam. Mocno wpłynęli na mój punkt widzenia. Pamiętam, jak na pierwszych zajęciach z filozofii rozmawiali-



śmy o tym, co można robić po tym kierunku. I padło takie zdanie, że filozofia otwiera i poszerza człowiekowi horyzonty i wielu filozofów później sobie dobrze radzi we wszelakich firmach, instytucjach i urzędach. I jak się okazało, jest to prawda, bo skończyłem jako wójt. Do dziś bardzo interesuję się filozofią, jednak na dzień dzisiejszy chyba bardziej interesuje mnie nauka. Nawet jakbym miał sprawdzić, czego ostatnio słuchałem, co oglądałem, jakie książki czytałem, to jest o wiele więcej książek popularnonaukowych niż takich stricte filozoficznych. Astronomia i fizyka kwantowa to są bardzo ciekawe tematy. Są wręcz z pogranicza filozofii. Bo jeśli zaczniemy się zagłębiać w budowę materii, to, z czego wszyscy się składamy, z czego wszystko się składa, to im głębiej sięgamy, to tak naprawdę okazuje się, że tam prawie nic nie ma. A jednak istnieje.

**T.K., A.K., M.P.** Czy w związku z tym ma Pan jakiś główny nurt filozoficzny, którym kieruje się Pan w życiu?

**M.K.** Tak, mam. Jest to filozofia stoicka. Pomagała mi nawet w kampanii. Szczerze mówiąc, ta filozofia mówi o spokoju ducha, o rzeczach ważnych i ważniejszych, o priorytetach. Polecam każdemu. Tacy autorzy, jak Seneka, jest to chyba mój ulubiony filozof, czy Marek Aureliusz – to byli naprawdę wybitni ludzie. Wielu było wybitnych ludzi. Ale oni taką filozofię życiową pokazywali. Podejście do życia, wartości, które są bardziej istotne, a niektóre mniej. Naprawdę jest to bardzo ciekawe. I na pewno pomaga w życiu. Nawet przy przeróżnych problemach i stresach, tak jak niewątpliwie miałem podczas kampanii. Choć starałem się trzymać od tego dystans, ale gdzieś tam w podświadomości zawsze tego stresu trochę jest. Pamiętam, że chodziłem z psem po lesie i słuchałem audiobooków filozofów stoickich.

**T.K., A.K., M.P.** Dziękujemy za poświęcony nam czas i interesującą rozmowę. Życzymy powodzenia na objętym stanowisku i wielu owocnych akcji społecznych.

---

Rozmawiały: Tetiana KRAVCHENKO, Antonina KRUK, Martyna PAWLAK.

---

## Aleksandra Niewiadomska-Pakuła

*„Żyjemy w jakiejś ułudzie, że czasu wystarczy na wszystko”.*  
*„Choroby biorą się z emocji, np. z poczucia winy, z nieukojonego żalu,  
ze złości, którą chowamy do ciała”.*

**Aleksandra Sokołowska (A.S.)** Praca freelancera jest bardzo ciekawym zajęciem, które staje się coraz bardziej popularne. Popyt na taki zawód też niewątpliwie wzrasta i coraz więcej ludzi chce się tym zajmować. Stąd właśnie wychodzi nasze pytanie: w jaki sposób w ogóle można zostać freelancerem, a dokładniej – w jaki sposób ty nim zostałaś?

**Aleksandra Niewiadomska-Pakuła (A.N.-P.)** Po pierwsze, myślę, że to jest kwestia decyzji, a po drugie, powiedziałabym, że pewnego rodzaju dojrzałości. Ja nie myślałam od początku o tym, żeby być freelancerką, bo jednak praca na etacie ma bardzo dużo atutów, które, mam wrażenie, rzadko się podkreśla. Posiadanie pewnego źródła dochodu, które co miesiąc jest takie samo, opieka medyczna, karta sportowa, różne dodatki itd. – to wszystko sprawia, że praca na etacie jest bardzo wygodna i bardzo bezpieczna. Niezależnie od tego, co ci się w życiu wydarzy, jeżeli jesteś zatrudniona na etat i masz sensownie skonstruowaną umowę o pracę, to masz większe poczucie bezpieczeństwa. Ja przez lata z tego korzystałam. Po studiach kilka lat pracowałam jako rzeczniczka medialna Stowarzyszenia „Inicjatywa dla Zwierząt”, kiedy już ta droga była dla mnie wypalona, to zostałam specjalistką do spraw HR i zajęłam się rekrutacją. W tym czasie ukończyłam też studia podyplomowe na Akademii Leona Koźmińskiego z zakresu employer brandingu, bo zawsze mnie interesował też marketing i działania PR-owe. Bardzo lubię pracę z ludźmi, więc wszystko łączyło się w jedną całość. Wtedy też zaczęłam pracować w bardzo dużej korporacji jako specjalistka od HR-u, gdzie zajmowałam się między innymi rekrutacją i employer brandingiem. Wszystko jednak stanęło, jak zaszłam w ciążę. Jak zaszłam w ciążę, to myślałam, że bardzo szybko wrócę do pracy, ale kiedy urodziłam moją córeczkę, to pomyślałam sobie, że już nie chcę tak szybko do tego wracać. Nie umiałam sobie wyobrazić siebie na etacie wymagającym bycia całych ośmiu godzin w firmie, niezależnie od tego czy zrobię przypisaną mi pracę szybciej, czy nie.

Należę do osób, które równie chętnie popracują dłużej, co krócej, więc jeśli trzeba, zostanę, ale jak już wszystko skończę, to wolałabym wtedy po prostu pójść do domu, a nie siedzieć na siłę w pracy. Więc postanowiłam, że nie wrócę na etat.

W tym czasie odezwała się do mnie moja znajoma z prośbą o poprowadzenie jej konta. Będąc z dzieckiem w domu, pomyślałam sobie, że skoro mam na to czas, to chętnie spróbuję, a może coś sobie przy okazji dorobię. Od tego się zaczęło. Okazało się, że idzie mi to bardzo dobrze. Wcześniej przeszłam też kursy dotyczące social mediów,

marketingu, działań w sieci, więc wiedziałam, co robię, ale prowadzenie czyjegoś konta nigdy wcześniej nie było dla mnie stałym zajęciem. Po pozytywnym odzewie od znajomej, sama poczułam się w tym dobrze i pomyślałam, że spróbuję to pociągnąć. I tak to się zaczęło. Zaczęli mnie polecać ludzie, jeden drugiemu, drugi trzeciemu. W końcu doszłam do momentu, w którym stwierdziłam, że nadeszła pora założyć firmę i trochę się jeszcze podszkolić z innego zakresu.

I tak to było, tak naprawdę ten freelancing przyszedł do mnie trochę z wyboru, z macierzyństwa, a trochę z tego, że mam pewne predyspozycje do takiego zajęcia.

**Gabriela Bogucka (G.B.)** Freelancing, z tego co wiemy, nie jest twoim jedynym zajęciem w tygodniu. Poza pracą z mediami społecznościowymi, prowadzisz też podcast. Jak wpadłaś na ten pomysł? Prowadzenie podcastu to było coś zaplanowanego, czy raczej spontaniczna myśl?

**A.N.-P.** Wiecie, ja zawsze chciałam być dziennikarką radiową. Chociaż może słowo zawsze nie jest tutaj adekwatne. Miałam jeszcze kilka innych pomysłów i to był jeden z nich. Co prawda, nigdy nie podjęłam jakichś kroków, żeby spełnić się w tym zawodzie. Nigdy nie poszłam na praktyki i nie złożyłam CV do radia. Myślałam, że byłoby to fajne zajęcie, ale niekoniecznie działałam w tym kierunku.

Ten podcast, można by powiedzieć, przyszedł do mnie sam. Ja poznaję bardzo dużo ciekawych i inspirujących ludzi. Lubię z nimi rozmawiać i lubię się tym dzielić. I tak po prostu pewnego razu pomyślałam, że chciałabym zrobić podcast. Odezwałam się do mojego kolegi, który prowadzi profesjonalne studio nagraniowe i wydawał podcasty, zaproponowałam mu temat, a on był zainteresowany.

Wtedy zrealizowałam dziesięć odcinków podcastu, który się nazywał „Między Duchem a Ciałem”. Był to podcast poświęcony cielesnej duchowości. Miałam tam cztery goście i z każdą rozmawiałam na różne tematy dotyczące właśnie ciała i ducha.

Później pomyślałam, że chciałabym to rozwinąć, ale już we własnym zakresie, z dowolną możliwością używania moich nagrań. Bo przykładowo po tym podcaście dostałam propozycję, żeby powędrował on do radia. Jednak z racji tego, że nie ja byłam wydawcą, to nie mogłam o tym zdecydować. Niestety wydawcy się to nie do końca opłacało, co rozumiem i szanuję. Ale pomyślałam sobie, że muszę to robić na własnych zasadach. I tak, z tego pierwszego doświadczenia, które bardzo mi się spodobało, powstał „Dobrystan”.

**A.S.** A czy łatwo połączyć te dwie rzeczy, które robisz w życiu zawodowym, ze zwykłym życiem rodzinnym, z byciem matką, z codziennością?

**A.N.-P.** Nie, nie. To jest życie w ciągłym szpagacie i tak naprawdę w próbie zrobienia wszystkiego wystarczająco dobrze. Myślę, że to jest nauka rezygnowania z pewnych rzeczy i wychodzenia z przekonania o tym, że coś musi być zrobione idealnie.

Dorośle życie ma w sobie coś takiego, że uczy nas rezygnacji z tego, co wydawało się początkowo bardzo konieczne i niezastąpione. W tym sensie trudno jest być mamą. Trudno jest, będąc mamą, zarabiać pieniądze, niezależnie od tego, czy na etacie, czy we własnej firmie. Do tego wszystkiego jeszcze robić coś ponadto, co już jest w ogóle hardcore.

Więc bardzo cenną rzeczą jest dla mnie czas, bo mam go mało, a chciałabym go jeszcze poświęcać na relacje z partnerem, na spotkania z przyjaciółmi, na coś miłego dla siebie, na poczytanie książki albo wyjście gdzieś. Jest to po prostu ciągle lawirowanie pomiędzy tym, co ja bym chciała, co mogę, a co muszę zrobić. Prawdę mówiąc, myślę, że żyjemy w jakiejś ułudzie, że czasu wystarczy na wszystko i że to jest kwestia organizacji. Ja od sześciu lat jestem mamą i od sześciu lat uczę się, że to wcale nie jest kwestia organizacji. Organizacja to jest po prostu wielka ściema. Nie wszystko da się przewidzieć i zorganizować. Do pewnego stopnia jasne, ale później okazuje się, że nie da się tego odwzorować tak jeden do jeden. Są rzeczy, nad którymi po prostu nie możemy zapanować. Teraz, w tym życiu, na pewno bardzo się tego uczę i próbuję to wszystko ze sobą jakoś połączyć. Z całą pewnością, będąc specjalistą od promocji w sieci, czyjs podcast i social media prowadziłabym zupełnie inaczej, ale skoro ja sama sobie za to nie płacę i mam na to najmniej czasu, to – pomimo wiedzy i pomimo tego, że zarabiam tym na życie – robię to trochę po macoszemu. Ale z czegoś muszę rezygnować.

**G.B.** Czyli, skoro zrezygnujesz z wielu rzeczy, żeby pogodzić życie prywatne z zawodowym, to znaczy, że jest to dla Ciebie pewnego rodzaju wyzwanie na tle życia codziennego?

**A.N.-P.** Myślę, że tak. Ja lubię filozofować, więc tak patrząc filozoficznie – życie jest takim wyzwaniem łączenia różnych rzeczy. Jako studenci też na pewno macie różne rzeczy, które chcecie robić, a które musicie robić i próbujecie gdzieś to wszystko ze sobą połączyć. Jakies różne pomysły na życie. Na pewno jest to wyzwanie, ale też takie niezbędne. Nie da się żyć bez tego i po prostu tak jest.

**G.B.** A czy na początku zauważyłaś jakieś problemy związane głównie z fazą rozwojową podcastu? Czy były jakieś trudności z rozpoczęciem takiej działalności?

**A.N.-P.** Ja mam wrażenie, że ciągle jestem w fazie rozwojowej i że te problemy, większe lub mniejsze, pojawiają się bezustannie. Na początku problemem było przede wszystkim znalezienie czasu. Później był też problem odpowiedniego zmontowania odcinka tak, żeby z warunków domowych powstało audio o dobrej jakości, którego da się słuchać też przez słuchawki. Trzeba przyznać, że mój pierwszy podcast, który był nagrywany w studiu, był super profesjonalnie wydany. Podcast nagrywany w warunkach domowych brzmi trochę gorzej. W związku z tym dużym wyzwaniem było tak to pogodzić, żeby dało się tego słuchać. Ja ten podcast wydaję ze swoich pieniędzy, nikt mi za to nie płaci, więc jest to też jakiegoś rodzaju wyzwanie finansowe, żeby zapłacić za obróbkę dźwięku, a też czasami za grafikę. Dużo ludzi też mi pomaga, tak po prostu, bo np. podoba im się to, co robię i dlatego, że się lubimy. Jednak są rzeczy, za które płacę, więc czasami, przykładowo, wydaję mniej odcinków w danym miesiącu, bo po prostu nie mam pieniędzy, żeby zapłacić za obróbkę dźwięku tyłu odcinków.

Jak się jest małym twórcą, który nie ma sponsorów, to jest to wyzwanie, ale jednocześnie ja mam takie poczucie, że te rozmowy są naprawdę ważne i że wnoszą jakąś wartość do życia ludzi. Dają takie poczucie misji, które mnie pcha.

A.S. „Dobrystan”, tak jak wcześniej „Między Duchem a Ciałem”, często porusza tematy duchowości, mówi o poznawaniu i szanowaniu siebie, o dbaniu o swoje wnętrze. Takie tematy wyszły z Twoich wcześniejszych zainteresowań czy pojawiły się dopiero później? Z czego zrodził się Twój podcast?

A.N.-P. Wiecie co, ja chyba zawsze byłam taka „stara małeńka”. Kiedyś usłyszałam, że mam starą duszę i po prostu dlatego taka jestem. Zawsze miałam jakieś poważne przemyślenia o życiu, zawsze interesowały mnie takie głębsze rozważania. Będąc na imprezie często wolałam rozmawiać np. o jakichś rzeczach filozoficznych niż o tym, że jakiś artysta wypuścił teledysk. Myślę, że gdzieś takie zainteresowanie było we mnie zawsze obecne i coś mnie wołało.

Dużo w moim życiu zmieniło też doświadczenie macierzyństwa. Myślę, że po pierwsze, wtedy dorosłam, tak naprawdę dojrzałam. To we mnie chyba otworzyło taką gotowość do dzielenia się tymi rozmowami, tymi tematami, do zadawania sobie pytań, do sprawdzania też pewnych rzeczy, które wydawały mi się oczywiste, ale z czasem przestawały [być] takie. Nie mam na myśli jakichś abstrakcyjnych rzeczy, tylko właśnie doświadczenia związane z naszą cielesnością. Jak się starzejemy to ciało się zmienia, jak rodzimy dzieci – ciało się zmienia, jak dojrzewamy – ciało się zmienia i do pewnego stopnia to wszystko jest okej, ale potem zaczynamy się zastanawiać, czy moje zmarszczki są w porządku? Czy ja mogę wyglądać inaczej? Czy powinnam coś zrobić i zmienić? Ja też w pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy to jest dla mnie okej, czy nie? Dlatego zaczęłam interesować się ciałem, bo uważam, że pompowanie w siebie botoksów i jakichś polepszaczy wcale nie jest dobrą drogą. Wiadomo, że do pewnego stopnia to też jest w porządku, ale nie dla mnie. Ja po prostu poczułam, że to nie jest moja droga. I tak początkowo zaczęłam badać tematykę związaną z ciałem, a potem postanowiłam zgłębiać te doświadczenia bardziej duchowe. Poród też dużo przede mną w tym temacie otworzył. To są doświadczenia związane z wiekiem. Kiedy byłam młodsza, trudno było mi wyobrazić sobie, że będę w ten sposób coś odczuwała. Ale z czasem jednak to do mnie przyszło i uważam, że jest to bardzo ważne.

Mam teraz małe dzieci. Małe dzieci są bardzo w ciele, one doskonale wiedzą, kiedy coś czują, kiedy chcą jeść, kiedy są śpiące, kiedy są złe. Nie blokują tych emocji. Jak chce im się płakać, to płaczą, jak chcą krzyczeć, to krzyczą. A my z czasem uczymy się blokowania tego wszystkiego. Jednak, pomimo naszej blokady, to i tak zapisuje się w ciele. Każda emocja, wszystkie doświadczenia. Późniejsze odblokowywanie tego wszystkiego z ciała przynosi niesamowite doświadczenia.

U mnie w rodzinie jest też doświadczenie wielu chorób nowotworowych. Jak moja mama chorowała na raka, to ja zadawałam sobie pytanie, skąd to przyszło? Proste wytłumaczenie jest takie, że przyszło z palenia papierosów, ale byłam przekonana, że jest w tym coś więcej. Teraz, już po latach poszukiwań, wiem, że choroby biorą się z emocji, np. z poczucia winy, z nieukojonego żalu, ze złości, którą chowamy do ciała. Mnie interesuje też, jak żyć zdrowiej, pełniej, radośniej i jak starzeć się w dobrej formie. Ja nie chcę mieć pięćdziesięciu paru lat i być chora. Chcę się cieszyć życiem, być

w doskonałej formie i zarażać wszystkich takim pozytywnym nastawieniem do życia. Jednak najpierw to musi wyjść z ciała. To ciało musi być zdrowe i sprawne, potem mamy głowę i sferę duchową.

**G.B.** Skoro poruszyliśmy już kwestię podcastu, to bardzo nas jeszcze zastanawia, w jaki sposób dobierasz gości? Czy starasz się jakoś połączyć zainteresowania Twoje i Twojego gościa, czy po prostu zapraszasz osobę, która najprawdopodobniej zainteresuje słuchaczy?

**A.N.-P.** Z reguły wybieram pod siebie z nadzieją, że słuchacze też będą zainteresowani. Moi goście są często ludźmi, których np. znam z Internetu, których działania wydają mi się czymś ciekawym. Praca z ciałem ma bardzo dużo wariantów. Może to być taniec intuicyjny, terapia przez ruch, psychoterapia Lowenowska czy też metoda Feldenkraisa. Każda z tych metod pozwala uwolnić coś z ciała, a mnie interesuje, jak to działa i dlaczego. Teraz też poszerzyłam podcast. Nie jest już tylko ciało i duch, ale są też „kobiety rakiety”. Takie spotkania z kobietami są teraz dla mnie źródłem dużej inspiracji i myślę, że to jest ważne. Po pierwsze dlatego, żeby dmuchać sobie w żagle, a po drugie, żeby się wzajemnie inspirować, bo kobiety robią niesamowite rzeczy.

Ale wracając do gości, to myślę, że wybieram ich trochę ze względu na ogólnie przyjętą tematykę, od której raczej nie odchodzę. Kręcę się gdzieś wokół niej. Potem sprawdzam, czy ja i gość mamy ze sobą „flow”, czy będzie nam się dobrze rozmawiać.

**A.S.** Ciekawi nas też, skąd bierzesz kontakty do gości?

**A.N.-P.** Z reguły z Facebooka. Niektórzy mają też swoje strony internetowe, więc z niej można po prostu wziąć kontakt. Ale ja wychodzę z założenia, że jeżeli chcesz z kimś porozmawiać, to nie czekasz, aż ten ktoś zauważy cię w tłumie, tylko się odzywasz. Jeżeli interesuje mnie rozmowa z kimś, to po prostu piszę do tej osoby i pytam, czy byłaby tym zainteresowana. Trzeba po prostu powiedzieć: cześć, tu jestem, nagrajmy coś razem.

**A.S.** A spotkałaś się kiedyś z jakąś kategoryczną odmową i negatywnym odzewem na pomysł wspólnego nagrania?

**A.N.-P.** Nie, z negatywnym odzewem nie, ale spotykam się z odmową. Wprawdzie rzadko, ale się spotykam. Ostatnio właśnie umówiłam się z kobietą na podcast, ale ona zwyczajnie nie dała rady go nagrać. Była tak zestresowana tą rozmową, że musiałyśmy przerwać i nam się nie udało. Pomimo tego, że miała dobre chęci, to po prostu nie poszło. Więc zdarza się to raczej rzadko, ale się zdarza.

**G.B.** Skoro pojawiają się różni goście, z którymi czasami łatwiej, a czasami ciężiej się pracuje, to czy robisz przed spotkaniem poszukiwania jakichś konkretnych informacji o zainteresowaniach swojego gościa, żeby np. łatwiej rozpocząć rozmowę? W jaki sposób przygotowujesz się do odcinka podcastu?

**A.N.-P.** Często jest tak, że goście przychodzą do mnie do domu na nagrania. Wtedy ja gotuję pyszną kawę, z której, można powiedzieć, słynę i sobie wtedy, po prostu, trochę rozmawiamy, żeby rozładować atmosferę. Przed spotkaniem najczęściej też ustaliam temat, o którym będziemy rozmawiać. Wiadomo, że jeżeli ktoś zajmuje się konkretną metodą, to ona będzie głównym nurtem naszej rozmowy.

Jeżeli wchodzimy na jakieś tematy związane z życiem, to przede wszystkim ustalamy pewne warunki bezpieczeństwa; przykładowo, jeżeli zadam pytanie, na które gość nie chce odpowiedzieć albo wejść zbyt głęboko w jakiś temat, to on ma prawo postawić granicę i nie dzielić się wszystkim. Chodzi o to, żeby mój gość wiedział, że nie ma obowiązku odkrywać wszystkich swoich trudności i zmartwień.

Ja sama nie przygotowuję się jakoś szczególnie do rozmów. Zazwyczaj nie mam listy pytań. Wiem, mniej więcej, jaka tematyka mnie interesuje, czym mój gość się zajmuje i jakie tematy dobrze byłoby zawrzeć. Gdzie to nas zaprowadzi w rozmowie, to już kwestia drugorzędna. Dlatego właśnie ja dostaję rozmowę, a nie wywiad.

Przed spotkaniami odpowiadam też sobie na pytanie: co ja chcę przekazać w tej rozmowie? Co fajnie by było, żeby się pojawiło? I staram się to przekazać.

**A.S.** Jak wygląda taki typowy proces tworzenia odcinka podcastu od samego początku do wydania?

**A.N.-P.** Właściwie nie jest to jakieś spektakularne. Po prostu siadamy i rozmawiamy. Ja mam dyktafon, taki półprofesjonalny bym powiedziała, który bardzo dobrze zbiera dźwięk. Nie jest on jakiś niesamowity, ale nie jest też całkowicie amatorski. Po rozmowie wysyłam wszystko do obróbki. Sama nie zajmuję się obróbką dźwięku, bo uznaję, że nie można znać się na wszystkim.

Potem już, ten obrobiony plik, który dostanę, muszę tylko wgrać na stronę internetową i umieścić jeszcze w kilku innych miejscach w sieci, w których chcę, żeby się pojawił, zrobić grafikę, jakąś okładkę i opowiedzieć o tym w social mediach.

Tak że to cały proces. Nie wydaje się w sumie aż taki skomplikowany, jak można by było pomyśleć. Tak naprawdę nie jest to w ogóle skomplikowane.

Bardziej problematyczne jest przemyślenie promocji niż samo umieszczenie rozmowy. Na pewno trudniejsze też jest przeprowadzenie rozmowy samej w sobie, tak, aby była ciekawa. Same takie techniczne rzeczy są naprawdę do przejścia.

**G.B.** Skoro nie jest to tak bardzo skomplikowane, jak mogłoby się wydawać, to powiedziałaś, że praca freelancera i prowadzenie podcastu Cię satysfakcjonuje, czy raczej chciałabyś robić coś jeszcze innego w życiu?

**A.N.-P.** Na tym etapie myślę, że jest w porządku, ale nie wiem, czy będę to robiła przez całe życie. Prawdopodobnie nie. Cyklicznie coś zmieniam i sprawdzam, co jest teraz dla mnie odpowiednie. Mam różne kompetencje, więc myślę, że jeszcze coś nowego wymyślę. Podcast mam zamiar na razie prowadzić, ale zobaczymy, co później. W tym momencie nie planuję zakończenia. Swojej kariery zawodowej jako freelancerki też na razie nie planuję zmieniać. Satysfakcjonuje mnie to teraz, ale też chciałabym więcej.

Chciałabym mieć więcej klientów, chciałabym mieć patronów do mojego podcastu, żeby nagrywać więcej odcinków. Ale myślę też, że nie jestem typem osoby, która do czegoś dojdzie, osiadzie i będzie przez następnych dwadzieścia lat w tym miejscu siedziała. Ja raczej szukam, raczej staram się rozwijać i dostarczać sobie nowych bodźców, bo tego po prostu potrzebuję.

Wydaje mi się, że życie zawodowe to są etapy. Na różnych etapach, różne rzeczy nam odpowiadają. Zupełnie inną pracę chcemy wykonywać mając dwadzieścia lat, trzydzieści lat i wyobrażam sobie, że mając pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat też mogę chcieć robić coś innego niż teraz. Będę inną osobą, będę miała nowe zainteresowania i nowe doświadczenia.

Moim zdaniem, warto mieć otwartą głowę, cieszyć się z tego, że teraz jest dobrze i patrzeć na wszystko z takiej perspektywy, że jeśli wydarzy się coś nowego, to może będzie lepiej i ciekawiej.

**G.B.** To znaczy, że planujesz się jeszcze wspinać po drabinie zawodowej i odkrywać jakieś „nowe łądy” po drodze?

**A.N.-P.** Ja nie czuję, żebym wspinała się po drabinie, bo nie mam też takiego doświadczenia, że życie zawodowe to jest wspinaczka po jakiejś górze. Nie za bardzo wiem, co miałyby być na tej górze dla mnie. Nie mam takiego szczytu, że np. chcę dojść do tego konkretnego stanowiska lub miejsca. Mam pewne marzenia i mam pewne plany dotyczące tego, jak mogłabym się rozwinąć przykładowo jako podcasterka, ale dla mnie jest to bardziej taki, powiedzmy, spacer po w miarę prostej drodze z jakimiś pagórkami niż wspinanie się. Ja też we wspinaniu widzę pewien trud, a nie czuję, żeby to był dla mnie trud, tylko raczej przyjemność.

Też zakładałam po prostu, że różne rzeczy mogą się wydarzyć i że, jak moje życie będzie się zmieniało, moje dzieci będą rosły, będę miała więcej czasu i więcej możliwości, to pewnie będę szukała czegoś jeszcze, jakiegoś zajęcia. Tak to widzę. Wtedy jest jakoś tak ciekawiej w życiu.

Teraz też jest taki świat, w którym mamy więcej możliwości. Za dziesięć lat będą zawody, których sobie w tym momencie nie umiemy wyobrazić. Nie wiemy, co się wtedy pojawi, więc trudno też jest wymyślić, jak to będzie wyglądało. Wydaje mi się, że zachowując otwartą głowę, można mieć fajną przygodę w życiu.

**A.S.** A czy w tym momencie, w którym jesteś teraz, poleciałabyś takie zajęcie, jak bycie freelancerem czy podcasterem komuś innemu?

**A.N.-P.** Tak. Tylko nie każdemu. Myślę, że, przede wszystkim, żeby być freelancerem, trzeba mieć pewien rodzaj konstrukcji psychicznej. Bo jest to stresujące. Nie wiesz, ile zarobisz, bo rzadko jest tak, że zawsze zarabia się tyle samo. Klienci przychodzą i odchodzą, pomimo tego, że są umowy. Jednak życie jest życiem i niestety bywa różnie. Więc wymaga to trochę takiego aktu odwagi.

Taka praca na pewno jest mniej pewna i bezpieczna niż etat. Jeżeli ktoś się dobrze czuje w takich sytuacjach, to będzie szczęśliwy i zadowolony, że ma dużo wolności w zamian za brak, aż takiego, bezpieczeństwa. Ale jeśli ktoś nie czuje się w tym pewnie, to w takiej pracy nabawi się nerwicy. Poza tym, że trzeba mieć wytrzymałość na stres związany z pewną niewiadomą, to trzeba też radzić sobie z klientami. Trzeba umieć negocjować, rozmawiać, ustalać stawki. To jest szereg kompetencji, których często po prostu nie mamy. Z drugiej strony, skąd mamy je mieć, jeśli nigdy nie pracowaliśmy jako, przykładowo, handlowiec?



Tak że jest to praca, na pewno, bardziej wymagająca niż się wydaje z boku. Często słyszę od ludzi: za co ty chcesz tyle pieniędzy? Przecież co to jest napisać taki post na Instagrama czy na Facebooka? Jest to kompletna nieprawda, bo oczywiście nie zawsze napisanie posta jest trudne, ale przemyślenie całej strategii, żeby to wszystko miało ręce i nogi, żeby post był sprzedażowy albo odpowiedni do marki, żeby zgadzał się z całą kampanią reklamową firmy, to już jest trochę większy wyczyn.

Wbrew pozorom napisanie trzech krótkich zdań jest często znacznie trudniejsze niż napisanie trzydziestu. Szczególnie jak się pisze cały czas na podobne tematy. Pracując z tym samym klientem, który robi jakąś gamę produktów, w kółko piszesz o tym samym. Jak dużo kreatywnych, ciekawych, angażujących, interesujących postów można napisać, ciągle obracając się w tym samym temacie? Ale klient jednak ma wymagania, które trzeba spełnić.

To są takie rzeczy, których nie widać z boku, bo najczęściej pokazuje się tych freelancerów z Instagrama, którzy siedzą na tle rajskiej wyspy, popijają sobie kawę i klikają uśmiechnięci w komputer. Jest prawdą, że ta praca czasami tak wygląda, ale niestety nie zawsze.

Faktem jest, że nie jest to zajęcie, które wykonuje się bite osiem godzin. Pracuję w godzinach, które mi odpowiadają. Nie mam sztywnych ustaleń, rzadko kiedy gdzieś muszę być, więc daję mi to bardzo dużo wolności i swobody. Czasami pracuję bardzo dużo, a czasami prawie w ogóle. Minus jest taki, że nie dotyczą mnie urlopy. Nie ma czegoś takiego, jak wolne od pracy. Ja pracuję właściwie 24 godziny. Wyjątkiem jest sen, ale gdyby działo się coś awaryjnego, moi klienci mogą do mnie zadzwonić w każdej chwili. Więc wszystko zależy od tego, kto co lubi. Na pewno nie każdy czułby się w tym bezpiecznie.

Jeśli chodzi o podcast, to myślę, że jest po prostu ciekawą formą do samorozwoju i samorealizacji. Jeśli ktoś ma potrzebę dzielić się czymś, to myślę, że to jest dobre.

No więc tak podsumowując, polecam. Myślę, że warto próbować, jak nie wyjdzie, to nie wyjdzie, ale chociaż się spróbowało.

**A.S.** Bardzo dziękujemy Ci za rozmowę, że znalazłaś moment, żeby się z nami połączyć i dziękujemy za szczere, wyczerpujące odpowiedzi, które na pewno zaciekawiają wielu czytelników. Myślę, że poruszyliśmy kilka naprawdę interesujących tematów, nie tylko o pracy freelancera i podcastera, ale również o życiu i odkrywaniu siebie.

**G.B.** Jeszcze raz bardzo dziękujemy i mamy nadzieję, że w przyszłości pojawi się jeszcze okazja współpracy.

---

Rozmawiały: Gabriela BOGUĆKA, Aleksandra SOKOŁOWSKA.

---

# Janusz Łastowiecki

„Ciekawość, chęć, pasja i praca”.

**Franciszek Waga (F.W.)** To tak... Jakie są najbardziej zaskakujące muzyczne odkrycia, które dokonał Pan w tym roku?

**Janusz ŁASTOWIECKI (J.Ł.)** Hm. Muzyczne odkrycie, które dokonałem w tym roku. Trudne pytanie, ciekawe pytanie. To jest bardzo trudne pytanie, ponieważ bardzo dużo muzyki dostaję z różnych stron i trudno chyba... A wiem, wiem, wiem. Długo wyczekiwana płyta duetu *Coals*, czyli *Łukasz Rozmysłowski* i *Kacha Kowalczyk*. Dla mnie jest to odkrycie. Po pierwsze dlatego, że nigdy nie słyszałem tylu utworów tego zespołu w języku polskim. Co się okazało, te utwory zaczynają jakieś większe rażenie, dlatego że głos Kachy Kowalczyk w języku angielskim znałem, ale wydaje mi się, że trudność języka polskiego w połączeniu z jej taką eterycznością w głosie i tym, co Łukasz Rozmysłowski robi z dźwiękiem, realizując go i majstrując z nim, powoduje, że dostaliśmy najbardziej chorą płytę od lat. Chora. Chora w tym sensie do słuchania w stanach takich chorobowych, więc mogę powiedzieć, że zachorowałem na płytę *Coals* pt. *Sanatorium*. Sama nazwa odwołuje się tutaj do jakiegoś leczenia z tej choroby.

**F.W.** Czy uważa Pan, że tradycyjne radio wciąż ma wpływ na ludzi obecnie w erze streamingu i podcastu?

**J.Ł.** Tak. Tradycyjne radio ma cały czas wpływ i widząc nawet przeobrażenia tego radia, że ono staje się coraz bardziej multimedialne, staje się coraz bardziej trochę taką telewizją w radiu, że to, co na początku i twórcom radia, Marconiemu, Tesli, ale też tym, którzy jako pierwsi weszli do studia i zaczęli mówić do ludzi... Niewidzialność jest tą podstawową cechą i dopóty radio tradycyjne będzie miało słuchalność, dopóki będzie istniała ta tajemnica niewidzialności, że tego nie widać... Wojciech Mann kiedyś powiedział, że jak był dzieckiem, to rodzice mu opowiadali różne historie na temat radia. Bo on się ich pytał, jak to jest, że to radio mówi, że tam jest taka skrzyneczka... I oni mu mówili, że tam są w środku, w tym odbiorniku radiowym takie małe ludziki i te małe ludziki sobie tam chodzą, wymieniają się..., co chwilę jakiś inny mówi. On tak patrzył w to radio i bardzo chciał te ludziki zobaczyć. Więc będzie radio, dopóki będzie tajemnica i niewidzialność.

**F.W.** Czy miał Pan kiedykolwiek okazję spotkać osobiście któregoś z artystów, którego muzykę puszczał Pan w audycji i jeśli tak, to jakie to było doświadczenie?

**J.Ł.** Na pewno stresujące, ale pierwszą wokalistką, z którą rozmawiałem w ramach mojej audycji *Zaplecze*, była *Kaśka Sochacka* i to było trudne spotkanie dlatego, że Kaśka była na początku swojej kariery. Ona też ma dosyć wsobny charakter. Ona jest osobą stosunkową zamkniętą na media. To się przez lata zmieniło..., ale rozmawiałem z nią

w początkowym momencie [kariery] i rzeczywiście czułem, że ona jest bardzo skryta i mi było trudno tę rozmowę prowadzić. I w pewnym momencie wywiadu powiedziała mi coś, czego nie chciała mówić i później w rozmowie z menadżerem to wyszło, że ona się poczuła taka zablokowana, ponieważ wyjawiała jakąś swoją tajemnicę rodzinną – ja też nie chciałbym teraz o niej mówić – której nie wyjawiała w innych wywiadach i przez to było jej też trochę trudno. Natomiast moją ulubioną rozmową z muzykiem czy muzykami na pewno było spotkanie z Darią ze Śląska, o której dzisiaj też dużo się mówi. To niesamowicie koleżeńska, niesamowicie też prosta, mimo swojej złożoności artystycznej, osoba. Prosta taka w dobrym znaczeniu tego słowa. A największą frajdę, jaką miałem, to spotkanie z zespołem *Rat kru* z Poznania, czyli z Witkiem i z Pawłem, ponieważ lubię czuć flow i lubię czuć to samo poczucie humoru i oboje [sic!] trochę podróżowaliśmy po granicach naszego poczucia humoru... we troje właściwie. Nie oboje, tylko w trójkę.

**F.W.** A czy są jakieś konkretne kryteria, którymi kieruje się Pan przy wyborze utworów do swojej audycji?

**J.Ł.** Nie mam żadnych scenariuszy. Ja oczywiście układam sobie utwory w jakiejś kolejności, ale nigdy nie mam scenariuszy. Często jest tak, że przychodzę do studia z jakimś nastawieniem, np. dzisiaj się coś wydarzyło, co wprowadziło mnie w jakiś stan niepokoju i wtedy zaczynam szukać takiej muzyki, nawet jak przygotowałem sobie listę utworów... Niech to będzie, że idziemy dzisiaj w *Depeche Mode*, a później będzie *Lunatic Soul* polskie i nagle przychodzi mi do głowy..., a niech będzie to *Coals*, które już grałem ileś audycji..., ale ono chce być zagrane, ponieważ zrymuje się, że tak powiem, z nastrojem dnia, który jest za nami, więc tak.

**F.W.** Czy jest jakiś utwór, który nigdy nie stracił takiej swojej magii niezależnie od tego, ile razy Pan już go słuchał?

**J.Ł.** Jest taki utwór. To jest polski utwór, polska piosenka. Nawet ostatnio o tym myślałem, kiedy był po raz kolejny organizowany polski top *radia 357*, czyli utwór z pierwszego miejsca i chyba nie dziwi mnie, dlaczego Polacy przez tyle lat wybierają najbardziej ten utwór jako najważniejszy utwór polski powojenny, czyli *Nie pytaj o Polskę* Obywatela G.C. Jest w nim Polska, jest w nim samotność, jest w nim miłość. Czyli te wszystkie rzeczy, wartości, które w sobie nosimy. A ja noszę w sobie bardzo.

**F.W.** To teraz takie pytanie, aktualne w sumie na naszych wykładach. Jakie są Pana przemyślenia na temat rosnącej popularności sztucznej inteligencji, ale w tworzeniu muzyki?

**J.Ł.** Tutaj jestem pesymistą, jeżeli chodzi o to, tzn. trudno nam przewidzieć, w jakim kierunku rozrośnie się ta euforia rozwojem sztucznych sieci neuronowych, ale obserwując to, co się dzieje dzisiaj, ten obecny stan rzeczy, myślę, że brakuje jej. Mimo że może być złożona z super algorytmów i one mogą przewidywać, jak się głos zachowuje w różnych sytuacjach itd. Ale u największych artystów na świecie i dlatego oni zrobili kariery. Myślę sobie o polskim zespole *Myslowitz*, który pojawił się w latach dziewięćdziesiątych i też był takim zespołem, który grał inaczej, że jej [tj. sztucznej

inteligencji] brakuje takiej innowacyjności i ryzyka, że ona nie umiałaby stworzyć czegoś, co byłoby zupełnie odbiciem w innym kierunku, bo ona de facto uśrednia ze sobą wszystkie rzeczy, które powstały w świecie albo te rzeczy, które my jej wrzucimy do analizy, a niekoniecznie poszuka tam, gdzie inni nie szukają. Takie jest moje zdanie.

**F.W.** Czy ma Pan jakąś taką swoją rutynę albo specjalne przygotowania przed rozpoczęciem audycji?

**J.Ł.** Ja mam tak, że bardzo lubię prowadzić audycję sam. Lubię takie samotnicze prowadzenie audycji, bo wtedy wiem, że mogę się skupić na słuchaniu muzyki i myśleniu sobie o niej. Oczywiście, jak są rozmówcy, też można słuchać, ale pojawia się innego rodzaju napięcie. Bo chce się jednak skupić uwagę na drugiej osobie. A w tym wszystkim, w prowadzeniu audycji muzycznej, najważniejsze jest nastrój tej muzyki, a dodatkową jakością, którą ja od kilku lat już wprowadzam do różnych rzeczy, które robię – i do słuchowisk, i do muzyki – jest to, żeby muzyce towarzyszył dźwięk. Teraz nagrywam audycję w lesie i mnie interesuje ostatnio połączenie dźwięku i muzyki. Coś, co w latach pięćdziesiątych XX wieku badał Pierre Schaeffer we Francji, mówiąc o przedmiotach dźwiękowych, czyli muzyce złożonej z przedmiotów albo muzyce, w której występują różne przedmioty dźwiękowe typu ptaki, typu ruszająca lokomotywa, więc to połączenie jest moim połączeniem. To może wynika z faktu, że przez tyle lat tak bardzo jestem zatopiony w radiu artystycznym i słuchowiskach radiowych, gdzie pejzaże dźwiękowe to jest taka nieodłączna część rozwoju teatru radiowego w Polsce.

**F.W.** Czy ma Pan jakieś rady, które przekazałby młodym osobom chcącym rozpocząć swoją audycję?

**J.Ł.** Czy mam jakieś rady? Najważniejsza jest taka, aby być otwartym i ciekawym medium [sic]. To jest najważniejsze, bo często jest tak, że młodzi ludzie, trafiając do radia, są od razu konfrontowani z takim poczuciem, że oni muszą coś już zrobić perfekcyjnie. Nic nie musimy robić perfekcyjnie. Doświadczeni radiowcy myślą się podczas prowadzenia audycji i to jest normalne. Najważniejsza jest ciekawość, chęć i pasja, ale jeżeli w tym wszystkim nie będzie chęci rozwoju, czyli pracy, czyli szukania, czyli rozmów odbytych z wieloma ludźmi, czy poszukiwania jakichś takich nowinek technicznych, bo to też jest ważne, no to nie będzie trybiło. Czyli ciekawość, chęć, pasja i praca. No to takie wyświechtane, ale to teraz przyszło mi do głowy.

**F.W.** I na koniec.. Czy zdarzyło się kiedyś Panu zmienić zdanie na temat jakiegoś artysty lub utworu po wysłuchaniu go w okolicznościach innych niż było to zazwyczaj?

**J.Ł.** Tak myślę..., na pewno nigdy nie byłem wielkim fanem tzw. Ireny, czyli Sanah. Nie rozumiałem, znaczy wiedziałem, że jest popularna. Przynajmniej popularna. Ale ani jej piosenki do mnie nie trafiały, ani ja tak gdzieś nie poszukiwałem muzyki w jej rewirach. Ale wtedy, gdy usłyszałem płytę, na której ona zaśpiewała utwory Wisławy Szymborskiej, Juliusza Słowackiego m.in., czyli te hymny... I wtedy zobaczyłem, że to jest taki jakiś fajny sposób na dotarcie do młodego pokolenia z tekstami

literackimi, które już tak średnio mogą do nich mówić, a poprzez jej głos, poprzez jej popularność to zaczęło żyć nowym życiem i wtedy zrozumiałem też po płycie *Uczta* gdzie np. jest ten kawałek, według tekstu Edgara Allana Poe sen we śnie. Wtedy zrozumiałem, że ona ma coś do powiedzenia. Kiedy da się jej te narzędzia odpowiednie i teksty dobre, teksty dobrze napisane, to ona może być międzypokoleniowa. Ona ma w sobie taki gen międzypokoleniowy i to mnie do niej przekonało.

F.W. Dziękuję bardzo.

J.Ł. To wszystko?

F.W. Tak. Jeszcze raz dziękuję.

---

Rozmawiał: Franciszek WAGA.

---

# Agnieszka Jordan-Gondorek

„Usłyszałam, że mój tekst choruje na zaimkozę, siękozę”.

*Agnieszka Jordan-Gondorek urodziła się i mieszka w Nowej Soli. Studiowała w Poznaniu – mieście tak malowniczym, że uczyniła je miejscem akcji swojej najnowszej książki. Z zawodu specjalista ds. transportu, prywatnie – żona i matka. Do tej pory wydała dwie książki – „Dziewczyna z warkoczem” (2019) oraz „Oszukać fatum” (2023).*

**Dawid Zawali (D.Z.)** Skąd wzięła się Twoja pasja do pisania książek?

**Agnieszka Jordan-Gondorek (A.J.-G.)** Zawsze lubiłam czytać książki. Jako dziecko spędzałam dużo czasu w bibliotece szkolnej i bibliotekach miejskich i niejako żyłam razem z bohaterami książek, które czytałam. Napisanie książki było wielkim marzeniem Ani Shirley, więc może trochę za jej przykładem zaczęłam sama coś pisać do tak zwanej szuflady. Odkryłam, że sprawia mi to przyjemność, więc postanowiłam iść tą drogą, ale minęło wiele lat nim uświadomiłam sobie, że to marzenie może się spełnić, jeśli tylko odpowiednio się przyłożę i pokonam wewnętrzny lęk przed krytyką.

**D.Z.** Kiedy dokładnie wzięło Cię na odwagę, by w końcu napisać i wydać pierwszą, porządną książkę?

**A.J.-G.** Trudno określić dokładną datę, bo to był długi proces. Gdy po kilku latach przerwy wróciłam do pisania, postanowiłam poszukać ludzi, którzy również piszą i wymienić się doświadczeniami. Takich forów jest w Internecie sporo, ale gdy publikujesz coś, co, w twojej opinii, wymaga poprawek i słyszysz, że tekst jest fajny i super, to znak, że trzeba stamtąd szybko uciekać. I właśnie po jednej z takich ucieczek trafiłam na Weryfikatorium. Zamieściłam krótki tekst w tak zwanym „tuwrzuciu” i usłyszałam, że mój tekst choruje na zaimkozę, siękozę, że ta konkretna kolokacja jest błędna, a bohater zachował się irracjonalnie. Zostałam i uczyłam się na błędach własnych i cudzych. Zaczęłam pisać powieść, która została wydana jako *Oszukać fatum*, ale na tamtą chwilę okazała się ona dla mnie zbyt dużym przedsięwzięciem. W ramach przerwy napisałam *Dziewczynę z warkoczem* i ta książka od razu znalazła wydawcę.

**D.Z.** Po długim czasie trudów i bólów udało się coś wydać. Jak krytycy z wydawnictwa, jak i zwykli czytelnicy przyjęli Twoje książki?

**A.J.-G.** *Dziewczyna z warkoczem* została bardziej dobrze przyjęta. To prosta, miejscami zabawna historia młodej kobiety, która po rozwodzie obiecała sobie, że już się więcej nie zakocha. Otrzymałam wiele pozytywnych opinii, ale nie byłabym sobą, gdybym nie zajrzała na *LubimyCzytać*, by poznać również te mniej przychylne. I tu kłania się dystans pisarza do samego siebie i tego, co się pisze. Bo można się obrażać, ale po co? Ja wolę wyciągnąć z krytyki konkretne wnioski na przyszłość. Opinię typu „nie podo-

bało mi się, bo mi się nie podobało” można śmiało uznać za nie wartą uwagi, bo nie każdemu wszystko się musi podobać, ale opinie z konkretnymi uwagami brałam sobie do serca, bo skoro ktoś poświęcił dużo uwagi na wyłuszczenie jakiegoś problemu, który zauważył w mojej książce, to trzeba potraktować taką opinię z szacunkiem i, broń Boże, nie obrazać się. Tak to w moim odczuciu powinno wyglądać.

**D.Z.** Czy planujesz wydać jeszcze jakąś książkę po *Dziewczynie z warkoczem* oraz *Oszukać fatum*?

**A.J.-G.** Tak. Druga część z cyklu *Fatum*, której tytułu nie mogę jeszcze zdradzić, właściwie już czeka na druk, a ostatnia powieść właśnie się pisze.

**D.Z.** Jakie masz inne zainteresowania poza pisaniem książek?

**A.J.-G.** Lubię czytać książki i słuchać muzyki, głównie mixów muzyki klasycznej z muzyką rozrywkową. Uwielbiam Symphoniacs. Ich muzyka mnie inspiruje. Lubię też grzebać w różnych dziedzinach nauki, bo może mi się to przydać w którejś z książek. Całe moje życie kręci się wokół książek.

**D.Z.** Jak wyobrażasz sobie przyszłość?

**A.J.-G.** Wyobrażam sobie, że moje książki będą dostępne stacjonarnie w każdej księgarni, choć wiem, że to marzenie trudne do spełnienia, bo nie umiem podążać za trendami i pisać książki na temat, który jest obecnie modny. Wolę być sobą i być wierną własnym przekonaniom oraz wierzyć, że rolą literatury nie jest jedynie rozrywka. Tak, jeśli w przyszłości nadal będę mogła pisać książki, jakie chcę pisać, to będzie dobra przyszłość.

**D.Z.** Czy – według Ciebie – warto spełniać marzenia, nawet gdy są niemożliwe do zrealizowania?

**A.J.-G.** Zawsze warto starać się spełniać marzenia, bo nigdy tak naprawdę nie ma pewności, że marzenia nie są możliwe do zrealizowania. Niekiedy brakuje nam wiary w siebie i to jest główny powód tego, że rezygnujemy. Ale jeśli ty sam w siebie nie uwierzysz, to kto uwierzy? Wszystko zaczyna się w naszej głowie. Tak, czasami droga jest wyboista, ale wtedy trzeba podzielić ją na mniejsze odcinki, mniejsze cele, które łatwiej będzie zrealizować. Trzeba być konsekwentnym, planować, trzymać się planu i w razie czego modyfikować go, bo nasz cel może pojawić się tuż za zakrętem. Każde doświadczenie czegoś nas uczy – o ile będziemy potrafili wyciągnąć właściwe wnioski.

---

Rozmawiał: Dawid ZAWALI.

---

## Barbara Animucka

„Najwięcej można się nauczyć na błędach i to one czynią cię silniejszym”.

**Julia Rogala i Marta Zarębska (J.R. i M.B.)** Mamy zaszczyt gościć u nas Barbarę Animucką, która jeździ konno w szkółce jeździeckiej „Black Pony”.

**Barbara Animucka (B.A.)** Dzień dobry, cieszę się, że mogę wziąć udział w waszym wywiadzie.

**J.R. i M.B.** Dobrze, zatem przejdźmy do pierwszego pytania. Jakie były Twoje pierwsze kroki w jeździectwie? Co sprawiło, że zainteresowałeś się tą dyscypliną?

**B.A.** Zaczęłam jeździć, jak miałam dwanaście lat. Pomysł przyszedł tak nagle, bo chciałam próbować czegoś nowego w życiu. Nie miałam wielu zainteresowań, z którymi mogłam związać moją przyszłość. Poprosiłam moją mamę, żeby zapisała mnie na jazdę konną i od razu się zgodziła, przez co mój pierwszy trening odbył się tydzień później.

**J.R. i M.B.** Jakie były twoje pierwsze kroki?

**B.A.** Moimi pierwszymi krokami w jeździe była jazda na lonży, czyli to taka długa linka, na której prowadzony jest koń przez instruktora. W takiej jeździe na lonży jeździec skupia się na jeździe anizeli na koniu.

**J.R. i M.B.** Kto był twoim pierwszym mentorem?

**B.A.** Moja aktualna i pierwsza instruktorka to Pani Kasia. Jest typem nauczyciela, który umie zdyscyplinować ucznia, ale jest miły w stosunku do niego. Przed zawodami szczególnie skupiamy się na dokładności naszych treningów.

**J.R. i M.B.** Czy miałaś trudności na początku?

**B.A.** Trudności zawsze są, jeżeli chce się czegoś nauczyć, szczególnie w sporcie. Moimi pierwszymi trudnościami, jak z każdym początkującym, było utrzymanie równowagi w siodle. To kluczowa rzecz, jeżeli chodzi o ten sport.

**J.R. i M.B.** Miałaś jakieś kontuzje albo wypadki?

**B.A.** Kontuzji na szczęście jeszcze nie miałam poważniejszych, ale prawie się zdarzyło, że uderzyłam głową o barierkę podczas upadku z młodego konia. Miałam trening skokowy na młodej klaczy i ćwiczeniem był szereg przeszkód, w którym druga przeszkoda dla konia wydawała się wyższa. Na ten widok ona się płoszyła, zjeżdżając na bok i galopując na barierkę. Patrząc na nią, zlekłam się, czy koń ją przeskoczy, czy wbiegnie w nią. Więc zdecydowałam, że odpuszczę i postanowiłam z niej wcześniej spaść, żeby nie doszło do czegoś gorszego.

**J.R. i M.B.** Nawiązując do tej sytuacji, czy zdarzają się jakieś konie z problemami behawioralnymi? Czy wszystkie konie są przyjazne i łatwo się z nimi pracuje?



**B.A.** Trzeba na pewno wziąć pod uwagę to, że każdy koń jest inny. W tym przypadku młode konie mają najróżniejsze charaktery, jeden może być spokojny, a drugi bardziej energiczny i niezależny.

**J.R. i M.B.** Jakie znaczenie ma dla Ciebie relacja z koniem, poza treningami i zawodami?

**B.A.** Konie są bardzo podobne do ludzi i ich zachowań, np. koń może też mieć gorszy dzień przez atmosferę wśród innych koni lub ogólnie pogodową. Nie da się zrobić nic z tym, że koń może się czuć źle jednego dnia. Zwykle staramy się z nim dalej pracować, żeby zobaczyć, co można zrobić. Jeśli nic się nie uda, to kończymy trening.

**J.R. i M.B.** Jeśli z koniem da się współpracować, to jak wygląda wasza codzienna rutyna?

**B.A.** Nasze treningi różnią się od dnia tygodnia. Dajmy na to, w poniedziałek po dniu koni [wolnym] od pracy, zaczynamy treningami ujeżdżeniowymi, aby rozgrzać je na sobotę, gdzie najwięcej i najwyższej skaczemy z całego tygodnia. Intensywność treningów zależy od tego, czy są jakieś nadchodzące zawody, czy nie.

**J.R. i M.B.** Jak się przygotowujesz do zawodów? Czy czujesz stres przed nimi?

**B.A.** Treningi są bardziej intensywne od normalnych. A jeśli chodzi o stres, to jest on ważny przy zawodach i może motywować do dalszych starań, ale trzeba zachować spokój i starać się nie być nadwrażliwym.

**J.R. i M.B.** Skoro ty czujesz stres, to pewnie to jakoś oddziałuje na konia, więc jakie cechy uważasz u konia za najważniejsze? Czym się sugerujesz przy wyborze konia?

**B.A.** Sugeruję się na pewno tym, żeby koń był temperamentny oraz tak zwany do przodu, czyli koń, którego trzeba hamować, nie pchać. Nie kieruję się maścią konia czy jego ogólnym wyglądem.

**J.R. i M.B.** Czy możesz opowiedzieć więcej o swoim koniu? Jakie ma cechy charakteru i mocne strony?

**B.A.** Mocnymi stronami mojego konia na pewno jest niezależność, ale w ostatnich czasach nauczyłam się z nią współpracować. Dobrze potrafi reagować na moje sygnały, dodając lub skracając prędkość.

**J.R. i M.B.** To jaka jest twoja ulubiona rasa konia?

**B.A.** Moją ulubioną rasą konia jest koń pełnej krwi angielskiej. Charakteryzuje się długą i smukłą sylwetką i są najczęściej wykorzystywane do wyścigów, w których kiedyś może będe się specjalizować.

**J.R. i M.B.** A brałaś udział już w jakich zawodach? Jak tak, to jakie to były?

**B.A.** Tak, brałam udział w zawodach. Najczęściej były to zawody skokowe, ale także ujeżdżeniowe.

**J.R. i M.B.** Czy możesz nam opowiedzieć o najważniejszym osiągnięciu w karierze jeździeckiej?

**B.A.** Takiego większego osiągnięcia nie mam, ale za miesiąc będę zdawać oznaki, które będą mnie kwalifikowały do większych i ważniejszych konkurencji.

**J.R. i M.B.** Czy to ma jakieś ogromne znaczenie dla ciebie?

**B.A.** Na pewno będę wiązała z tym swoją przyszłość, bo nie sądzę, [że] mogę uciec od tego. Jazda konna stała się dużą częścią mojego życia i nie wyobrażam sobie zmieniać tego na coś innego.

**J.R. i M.B.** A chciałabyś zostać trenerem w przyszłości czy brać udział w zawodach?

**B.A.** Myślę, że będę chciała zostać hodowcą i tresować swoje konie, ale także brać udział w zawodach na nich. Będę je dokładnie znała i wiedziała, co potrafią najlepiej.

**J.R. i M.B.** Masz może jakieś długoterminowe cele?

**B.A.** Chcę się stać jeszcze lepsza, rozwijać swoją pasję i chcę spróbować każdej dyscypliny jeździeckiej. W szczególności chciałabym spróbować wyścigów i dotrzeć na jakiś wysoki szczebel, ale także spróbować moich szans w WKKW – Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego, który charakteryzuje się trzema głównymi dyscyplinami: ujeżdżenie, skoki przez przeszkody i niezwykle widowiskowy cross, czyli bieg terenowy z przeszkodami.

**J.R. i M.B.** Jak Ci się wydaje, jakie wyzwania możesz napotkać na drodze do celu?

**B.A.** Nie wiem, co może zdarzyć się po drodze, bo w świecie jeździeckim jest ekstremalnie dużo przeszkód.

**J.R. i M.B.** Skoro jeździsz od dłuższego czasu, to czy dałabyś jakieś rady początkującym jeźdźcom?

**B.A.** Cierpliwość jest najważniejszym czynnikiem, żeby doskonalić się w tej dyscyplinie. Wytwałość i ambicja również dużo pomagają. Trzeba mieć świadomość, że w jeździe mogą być cięższe momenty. I warto wiedzieć, że najwięcej się można nauczyć na błędach i to one czynią cię silniejszym.

**J.R. i M.B.** Co najbardziej kochasz w jeździectwie i co motywuje cię do dalszego jeźdzenia?

**B.A.** Najbardziej uwielbiam to, że zapominam o moich problemach. To jest taka forma terapii dla mnie, moment wyciszenia.

**J.R. i M.B.** Chciałybyśmy bardzo Ci podziękować za spotkanie i spędzony z nami czas. Te odpowiedzi zdecydowanie pozwoliły nam uzyskać cenne informacje na temat jazdy konnej.

**B.A.** Również wam dziękuję za tą [sic] miłą atmosferę.

---

Rozmawiały: Julia ROGALA, Marta ZARĘBSKA.

---

# Tanatopraktyk

„Nigdy nie wiadomo, ile pracy czeka, jak się otworzy worek”.

Osoba, z którą przeprowadzono publikowany wywiad, pragnęła zachować anonimowość, dlatego też celowo posłużono się tu fikcyjnym i tylko imieniem (Ewa).

**Karolina Waleńska (K.W.)** Dzień dobry. Zaczniemy nasz wywiad od takiego, myślę, że dość oczywistego pytania. Pracujesz jako malarka zwłok, ciekawi mnie, skąd u Ciebie pomysł, a przede wszystkim odwaga, aby podjąć się takiego zawodu?

**Ewa (E.)** Witam. Szczerze mówiąc, pierwszy raz spotykam się z takim określeniem, jak malarka zwłok. Tak ogólnie jest to tanatopraktyka albo po prostu przygotowywanie zwłok do pogrzebu. Takie są dwa najczęstsze określenia na ten zawód.

**K.W.** Rozumiem.

**E.** Co do pomysłu... No niestety, to nie był pomysł. Duży wpływ na ten wybór miała sytuacja z mojej młodości, kiedy byłam nastolatką. Miało miejsce tragiczne wydarzenie w rodzinie – bardzo bliską mi osobę źle potraktowano w zakładzie pogrzebowym i od tego momentu powiedziałam, że nigdy więcej nie dam zrobić krzywdy zmarłym. Po prostu będę tak pracować i o to dbać. Od tamtego momentu już wiedziałam, niezależnie, czy byłam w liceum, czy na studiach, że wyląduję w zakładzie pogrzebowym. Przez te niemiłe doświadczenia zdecydowałam się podjąć takiej, a nie innej pracy.

**K.W.** A jakie cechy są potrzebne przyszłym tanatopraktykom?

**E.** Opanowanie, spokój, umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach, bo przeróżne zdarzenia mają tutaj miejsce, dużo empatii w sobie, ale też kreatywność czy zdolności manualne – to takie najważniejsze, które mogę wymienić.

**Aleksandra Pruszyńska (A.P.)** Jakie trzeba mieć kwalifikacje, aby tak pracować?

**E.** Ja osobiście nie skończyłam żadnej szkoły ani studiów. Przechodziłam za to szkolenia i kursy. Najlepiej znaleźć sobie praktyki w zakładach pogrzebowych, właśnie w prosektorium, żeby jak najbardziej doświadczyć na własnej skórze, jak to wszystko wygląda. Bardzo objętościowo, ale tak jest.

**Mikołaj Szoltek (M.S.)** Jeszcze wracając do momentu, kiedy podjęłaś decyzję, że będziesz pracować w takim zawodzie. Jak Twoi najbliżsi zareagowali na tak niecodzienny pomysł?

**E.** To znaczy, po tym co wydarzyło się w mojej rodzinie, bo to trwało x lat, zanim skończyłam liceum i studia, już wszyscy wiedzieli, że wyląduję w zakładzie pogrzebowym. Dlatego też inaczej to odebrali. Aczkolwiek wiadomo, że są jakieś przykre sytuacje, jak ktoś mnie nie zna albo poznaje..., a ja nigdy nie ukrywam, gdzie pracuję. Nieraz ludzie różnie to odbierają. Wiadomo, czasami jestem tą, która „ubiera trupy”.

Wszystko do momentu, kiedy przychodzi śmierć ich bliskiej osoby, wtedy do mnie dzwonią i to z nimi rozmawiam. Gdy przygotowuję osobę zmarłą, to kompletnie inaczej mnie odbierają. Ale ogólnie rzecz biorąc, do tego momentu to jestem „ta od trupów”. I gdzieś w środku to boli. Chociaż zdarzają się pozytywne głosy ludzi: „Ty? Ty to robisz? W życiu bym nie pomyślał!” A pracuję już czternasty rok w tym zawodzie. To już...

**K.W.** Troszkę trwa.

**E.** Tak, troszkę trwa.

**A.P.** Czyli taka dyskryminacja raczej często się pojawia? Bo ten zawód jest niestety okraszony tabu.

**E.** Oczywiście. Teraz jest moda na takie seriale i filmy. I to się fajnie ogląda! Ale jak ktoś spotyka osobę, która naprawdę działa w tym zawodzie, to ludzie różnie reagują. Chociaż teraz już coraz mniej. Bardziej pozytywnie, że przecież ktoś musi to robić. Raczej w tym kierunku to idzie.

**K.W.** A czy pamiętasz swój pierwszy dzień pracy? Jak on wyglądał? Mogłabyś go opisać?

**E.** Pamiętam, choć nie pamiętam twarzy osoby zmarłej. Może dlatego też tak długo tutaj pracuję, bo gdybym miała koszmary, gdybym to przeżywała, to inaczej by to wyglądało. Ja po prostu nie mam do tego pamięci. Gdy wychodzę z pracy to zamynam temat. Mówię, różne ciała tu przywożą i jakbym żyła tym cały dzień, to pewnie by się to odbiło na mojej psychice. Dlatego nie pamiętam twarzy tej osoby, ale pamiętam, że współpracownicy mi urządzili chrzest bojowy. Chcieli sprawdzić, czy wrócę następnego dnia do pracy, bo jednak wejść do chłodni i zobaczyć zmarłych, i to przeróżnych – czy to z wypadków, samobójstw, morderstw... to był taki test, czy wrócę czy nie. Ale wróciłam.

**A.P.** A ile mniej więcej czasu zajmuje przygotowanie zwłok?

**E.** Oczywiście, jak różni ludzie, tak różne zwłoki. Każde są inne. Jest inaczej przy pani z hospicjum, która waży pięćdziesiąt kilogramów i przyjechała po chorobie, a inaczej przy osobie z wypadku, ale tak średnio to wychodzi ze dwie godziny. Są wyjątki, niektóre zwłoki potrzebują pięć, sześć godzin, a inne tylko półtorej. Przy każdej osobie zmarłej wykonuję inną pracę. I dlatego też w tej pracy nie ma rutyny, każdego dnia są inne zwłoki, inaczej się do nich podchodzi, inne są wymagania rodzin. Tak jak wcześniej powiedziałam, każda osoba zmarła wymaga czegoś innego, więc to jest niepowtarzalne. Za to cenię ten zawód, że nigdy nie wiadomo, ile pracy czeka, jak się otwórzę worek.

**M.S.** A miałaś okazję pracować nad ciałami osób publicznych?

**E.** Nie. Nie miałam osób z pierwszych stron gazet. Aczkolwiek nie ukrywam, że tutaj jest taki przekrój – ubiera się od osób bezdomnych po milionerów. Muszę przyznać, że większą satysfakcję sprawiają osoby wymagające większej pracy. Jak mam do czynienia z ciałem milionera, to osoba przeważnie jest zadbana, a rodziny przynoszą wszystko z najwyższej półki – garnitury, odzież czy kosmetyki. I wtedy można po-

wiedzieć, że jest szybko, sprawnie i przyjemnie. Gdy osoba wymaga jednak dłuższej pracy, bo miałam taką sytuację, chociaż ich jest mnóstwo... Nie wiem, czy opowiedzieć historię?

**A.P.** Opowiedz koniecznie!

**E.** Było tak, że chłopak wybrał takie życie, a nie inne, i postanowił być bezdomnym. Gdy go do nas przywieźli po x latach, to jego tata zjawił się na identyfikację. Oczywiście rozpoznał, że to jego syn, ale wyglądał on zupełnie inaczej. Długie włosy, broda, zaniedbany, brudny, zniszczone ubrania. Czasami jest tak, że rodziny próbują się usprawiedliwiać, dlaczego tak się stało. Ja nigdy tego nie oczekuję. Chcę, żeby mieli wsparcie we mnie, a nie, że będę pytać, „dlaczego pan tu przychodzi, a syn jest bezdomny?” Ten ojciec miał do mnie prośbę i wyjął zdjęcie sprzed wielu lat, gdy mieli kontakt. Poprosił mnie, żeby wyglądał jak w przeszłości, kiedy ujrzy go matka – krótkie włosy, bez zarostu. Praca przy tej osobie trwała kilka godzin, ale w momencie, gdy ojciec przyszedł następnego dnia z żoną i ona zobaczyła swojego syna, jakby dzień wcześniej wyszedł z domu, czuje się satysfakcję. Udało mi się odtworzyć jego wygląd. Widziałam, że przyniosłam ulgę dla matki, bo we wcześniejszym stanie syna to byłby podwójny cios. Tak że gwiazd u siebie nie miałam i obym nie miała. Niech żyją jak najdłużej.

**A.P.** Tak jak społeczeństwo jest zróżnicowane, tak różne wymagania.

**E.** No właśnie. A ponieważ jest to prosekatorium miejskie, to wiadomo, że trafiają tutaj wszyscy.

**K.W.** Przez całą karierę pracowałaś w jednym miejscu? Czy zdarzyło może Ci się gdzieś indziej?

**E.** Tak, tylko tutaj. Jak tutaj przyszłam w 2010 roku, to do dziś tutaj jestem.

**A.P.** Jesteś jedyną osobą, która tutaj pracuje?

**E.** Tak, chociaż dzisiaj mam pomoc. Jedna osoba mi pomaga przy ubiorze, aczkolwiek tak, jestem jedyną kobietą w tym mieście, która wykonuje taki zawód. Ta pani przyjeżdża z innego miasta, a ja jestem na miejscu jedyna. Znam różne zakłady pogrzebowe i to raczej nie jest popularna praca wśród kobiet.

**M.S.** Teraz trochę inne pytanie. Jeśli mogłabyś wykonać makijaż postaci historycznej, fikcyjnej lub może sławnej, kto mógłby to być? Dlaczego?

**E.** Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Raczej próbuję się odcinać od takich myśli. Nikomu nie chcę przyspieszać śmierci. Wyobraźnia tak działa, że już widzę jakąś osobę w trumnie i jak coś przy niej robię. Nie chcę tak nawet myśleć. Dlatego może to, co powiem będzie zabawne, ale jednak człowiek to człowiek. Miałam już doświadczenie z każdym ciałem – po wypadkach, pożarach, utonięciach. Dlatego nie wiem, kosmita może. Tak pomyślałam, bo to jest zupełnie inne dla nas. To byłoby nowe doświadczenie, zdobyłabym nowe umiejętności. Ale podkreślam, że nie chcę nikogo uśmiercać. Gdzieś tam mi się czerwona lampka zapala.

**K.W.** To jednak inna twarz i zupełnie inne ciało.

**E.** Tak, to coś nowego, zupełnie nowe doświadczenie. Może musiałabym się czegoś nauczyć, wymagałoby to pewnie dłuższej pracy, jakiegoś kombinowania i kreatywności. To byłaby dla mnie nowość.

**K.W.** Czy dostałaś kiedykolwiek jakieś nietypowe zadanie, dotyczące wyglądu zmarłego?

**E.** W sumie to dla mnie nie ma już nietypowych zadań. Tyle, ile teraz rodzin, tyle różnych pomysłów i życzeń, to jest raczej na porządku dziennym, chociaż czasem są bardziej drastyczne pomysły, które mnie lekko zaskakują. Bo ja jestem, nie wiem czy tylko, czy aż, tanatopraktykiem. Tak naprawdę, gdy przygotowuję ciało, rodzina ode mnie wymaga, żebym była fryzjerką, stylistką, makijażystką – po prostu wszystko mam robić. Czasami również muszę wchodzić w rolę psychologa, gdy się spotykam z najbliższymi osób zmarłych. Próbuję każde życzenie spełnić, żeby pomóc i zwiększyć ulgę na tyle, na ile potrafię. Natomiast z takich przyziemnych zadań, to chwilę przed śmiercią trzeba było amputować nogę osobie zmarłej, a nie chciano, żeby dalsza rodzina wiedziała i musiałam dorobić nogę tak, aby w garniturze widoczne były obie nogi. Można zapytać, dlaczego tak? Bo tak sobie zażyczyli.

**K.W.** A dla osób niezwiązanych z tym zawodem mogłabyś przedstawić poradnik, jak upiększyć zwłoki?

**E.** Dla mnie najważniejsze jest, żeby wrócić do naturalnego koloru skóry, więc wszelkie przebarwienia i plamy opadowe staram się zatuszować. To jest najbardziej widoczne, szczególnie dłonie i twarz, chociaż ja zawsze powtarzam rodzinom, że nigdy nie robię nic na siłę. Jeżeli zmarły nie jest podatny na niektóre rzeczy, jak na przykład to, że nogi nie układają się równo, tylko na bok, to zawsze dzwonię i informuję, że nie będę na siłę w trumnie przekręcać tych nóg, żeby tylko ładnie to wyglądało. Różnie się do tego podchodzi. Czasami musi być ładnie i tyle. W dziewięćdziesięciu procentach ludzie mi mówią, żebym zostawiła tak jak jest. Nie lubię robić czegoś na siłę, że na przykład chłopak, młody chłopak, niespełna dwadzieścia lat, popełnił samobójstwo i rodzina chce koniecznie ubrać go w garnitur, bo tak wypada, bo co powie dalsza rodzina, a co sąsiedzi. Jeżeli chodził całe życie w bluzie i w spodniach dresowych to dlaczego ma iść do trumny w garniturze? Często jak rodzina ze mną rozmawia to faktycznie słyszę, że oni koniecznie muszą kupić ten garnitur. Ja wtedy na spokojnie tłumaczę, że to oczywiście od nich zależy, ale czy chcą państwo dobrze dla syna, czy chcą, żeby sąsiadka dobrze mówiła o nich po pogrzebie? Dlatego chcę podkreślić jeszcze raz, że jestem daleka od robienia czegoś na siłę. Raczej uważam, że wszystko powinno być tak, jak za życia osoby zmarłej.

**M.S.** Dziękujemy bardzo za rozmowę.

---

Rozmawiali: Aleksandra PRUSZYŃSKA, Mikołaj SZOLTEK, Karolina WALEŃSKA.